

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 21. Warszawa, dnia 14 (26) Maja 1876 roku. **Rok 12.**

CENA PRENUMERATY:

w Warszawie z odn. do domu	na prowincyi w Cesarstw. i Królestwie.
rocznie . . . . . rs. 6 k. —	rocznie . . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . . „ 3 „ —	półrocznie . . . „ 4 „ —
kwartalnie . . . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . „ 2 „ —
miesięcznie. . . „ — „ 50	

w Krakowie rocznie z stemplem dziennikar. Zlr. 10. w Galicyi Zlr. 11 cent 50. — w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA, SKŁAD GŁÓWNY i EKSPEDYCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT Nr. 72 NOWY.

Skład główny: w Poznaniu w Księgarni *Leitgebera i Spółki;* we Lwowie w *Księgarni Polskiej*, ulica Kopernika Nr. 12; w Krakowie w Księgarni *Gebethnera i Spółki;* w Wilnie u *J. Zawadzkiego.*

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile w czynie.

XXI.

Na posiedzeniu dorocznem w Banku Polskim dnia 6 maja, Prezes Banku p. Baumgarten przemówił:

„Panowie!

—„Według przyjętego zwyczaju i stosownie do przepisów obowiązujących, mam zaszczyt przedstawić Panom sprawozdanie z czynności Banku Polskiego za rok przeszły 1875, a 48-y jego istnienia.

„Porównywając cyfry ważniejszych obrotów z roku bieżącego z takiemiż w roku zeszłym, działalność Banku okazuje się pomyślniejszą w kierunku przez Rząd mu wskazanym: bo gdy z jednej strony pożyczki na długi termin, hypoteczne i inne nieodpowiednie dla banku, handlowe operacye zmniejszają się, a nawet zupełnie ustają, to z drugiej znów strony rozwijają się właściwe bankowi czynności, a mianowicie: dyskontowanie wexli."

Za dowód najwymowniejszy posłużą następujące cyfry:

w roku 1875 zdyskontowano wexli w Warszawie za . . . . . rsr. 22,349,015 kop. 72½
w 9 Oddziałach Banku za . . . . . rsr. 15,482,431 kop. 10
Razem za rsr. 37,831,446 kop. 82½
że zaś w r. 1874 zdyskontowano wexli za rsr. 32,433,228 kop. 22
zatem w r. 1875 dyskonta była większą o rsr. 5,398,218 kop. 60½
Dochody Banku w ogóle w r. 1875 wynosiły rsr. 1,744,314 kop. 28 ¼
Rozchód zaś . . rsr. 818,933 kop. 80 ¼
Czystego więc dochodu było . . . . . rsr. 925,380 kop. 48
Nadto, skutkiem wycofania z obiegu biletów Banku Polskiego, które nie zostały w terminie oznaczonym wymienionemi, okazało się dochodu rsr. 389,967. Po potrąceniu przeto na ten cel z polecenia p. Ministra Finansów rsr. 100,000 i na kapitał rezerwowy rsr. 153,467 kop. 2 ¾ z tego źródła przybyła do dochodów Banku summa . . rsr. 136,499 kop. 97 ¼
Razem dochód wynosił 1,061,880 kop. 45 ¼
Że zaś w r. 1874 było dochodu . . . . rsr. 917,517 kop. 15
Zatem w r. 1875 było więcej o . . . . . rsr. 144,363 kop. 30 ¼

Loteryja klassyczna podług planu zeszłorocznego przyniosła dochodu rsr. 277,796.

W celu powiększenia obrotowych operacyj, zmniejszonych skutkiem wycofania z obiegu biletów, z polecenia Ministra Finansów, otwarte zostały rachunki bieżące z Kassą Państwa, nadto za porozumieniem się wzajemnym przekazy z Bankiem Państwa

* * *

Komitet kassy wsparcia podupadłych lekarzy oraz wdów i sierot, po tychże pozostałych, podał do wiadomości publicznej odezwę, którą poniżej zamieszczamy, z uwagi iż żaden objaw użyteczności prawdziwej pominiętym być nie powinien.

„Ś. p. Dr. Jan Bącewicz, niegdy członek Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, testamentem z dnia 20 lipca 1864 roku, zapisał kapitał rs. 7,500, jako oddzielny fundusz stały, przy Towarzystwie Lekarskiem istnieć mający, od którego procent ma być corocznie w dniu imienin testatora, to jest w dniu 24 czerwca rozdzielany pomiędzy pięć niezamożnych wdów po lekarzach krajowych wyznania chrześcijańskiego, a w braku takowych,— po lekarzach innych wyznań. Nazwiska osób które otrzymają wsparcie z tego legatu, mają być każdego roku, według woli testatora ogłoszone w pismach publicznych."

Komitet Kassy Wsparcia podupadłych lekarzy, działając z upoważnienia Towarzystwa Lekarskiego, podaje do wiadomości, że w ro-

ku bieżącym, podobnie jak w latach ubiegłych będzie dopełniony rozdział procentu, otrzymanego od powyższego kapitału, w sumie rs. 450, czyli, że każda z 5-ciu wybrać się mających wdów po lekarzach, otrzyma wsparcie jednorazowe rs. 90.

Podług stale przyjętego w tej mierze porządku postępowania, Komitet nie przyjmuje bezpośrednio podań od wdów po lekarzach, któreby pragnęły pozyskać wsparcie z legatu Dra Bącewicza, lecz każdy z niżej wymienionych członków Komitetu, ma prawo przedstawienia jednej kandydatki, wdowy po lekarzu krajowym, przyczem obowiązany jest podać Komitetowi następujące na piśmie wiadomości: 1) imię i nazwisko kandydatki, z wymienieniem po kim jest wdową, gdzie jej mąż praktykował jako lekarz i jakie miał zasługi. 2) ile wdowa liczy lat życia, 3) czy pobiera pensyę emerytalną i w jakiej wysokości rocznie, 4) jeżeli ma dzieci, to ile, z podaniem czem się każde zaimuje. Przedstawienia mają być nadesłane pod adresem Komitetu najpóźniej do dnia 1 (13) czerwca r. b., albowiem przed dniem 12 (24) czerwca, jako terminem wypłaty wsparć, odbędzie się w tym celu posiedzenie Komitetu.

Do składu Komitetu należą: w Warszawie: prezes Dr. Szokalski Wiktor, vice-prezes Dr. Rose Józef, członkowie Dr. Heinrich Aleksander, Dr. Lebiedziński Antoni, Dr. Libchen Jan, Dr. Portner Szymon, Dr. Rogowicz Jakób, Dr. Rothe Adolf, Dr. Rozencwajg Michał, mecenas Thieme Karol i rejent Zawadzki Stanisław. Oprócz tego członkami komitetu z urzędu są: Inspektorowie lekarscy w gubernjach kraju, jako to: miasta Warszawy Dr. Suck Artur, gubernji warszawskiej Dr. Siewruk Teofil, w Kaliszu Dr. Weiss Waldemar, który do załatwiania interesów Kassy Wsparcia stale upoważnił swego pomocnika Dra Merkel Juljana, w Piotrkowie: Dr. Mianowski Ksawery, w Radomiu Dr. Rewoliński Teofil, w Kielcach Dr. Lewiński Marceli, w Lublinie Dr. Kwaśniewski Juljusz, w Siedlcach Dr. Czopowski Antoni, w Płocku Dr. Ostrowski Władysław, w Łomży Dr. Londyński Roman i w Suwałkach Dr. Kühlewein Fryderyk. Osoby które życzą sobie ubiegać się o wsparcie z legatu Dra Bącewicza, mogą zgłosić się z należytemi dowodami do jednego z wyżej wymienionych członków, którzy przy przedstawieniu Komitetowi kandydatek przez siebie wybranych, przyjmują moralną odpowiedzialność za istotnie biedny ich stan i dobre prowadzenie się".

* * *

Dalej szajko *kulturträgerska*, dalej *teutońscy przodownicy z nad Schprei*, spieszcie, spieszcie całemi chmarami, bo oto otwiera się dla was nowe źródło zysków. Jak szerszenie, jak trutnie do ula wpaść możecie do nas i ssać nasz dobrobyt krajowy na punkcie przemysłu, monopolizować go dla siebie!

— Co to, co to, zawoła czytelnik, o cóż to chodzi?

— W dniu 12 czerwca w Petersburgu odbędzie się w radzie ministrów dóbr Państwa licytacya na sprzedaż zakładów i hut żelaznych w Dąbrowie. Warunki nabycia takowych są następujące: wartość nominalna oznaczoną jest na 1,176,000 rs., lecz na wypłatę *zaraz* potrzeba będzie tylko 1/3 część tej wartości czyli cena kupna.

— Więc cóż z tego, odpowie czytelnik, wszak to korzystny interes, to bogactwo krajowe, dla czegóżby więc koniecznie tylko *teutońscy mężowie* biedz do tego mieli? My ich nie powinniśmy przecież dopuścić do tego, nie powinniśmy pozwolić wydzierać sobie z gardła dobra materyalnego, ażeby później samym zostać nędzarzami.

— Bardzo to pięknie łaskawy czytelniku, uwagi twoje są śliczne i bodajby się sprawdziły...

— A dla czegóżto wątpić?—Wszak posiadamy kapitały—to znaczy mamy pieniądze na podnoszenie dobrobytu własnego.

— Nie ma kwestyi, że mamy pieniądze, i że te pieniądze wystarczyłyby na takie interesa przemysłowe, na takie rzeczy dobrobytu krajowego, to ani na chwilę wątpić nie można, tylko że te pieniądze leżą w akcyach, w papierach publicznych i każdy z tych kapitalistów miljonerów woli spać na nich i pobierać skromniutki procencik, aniżeli ruszyć się do pracy, aniżeli choć przez godzinę suszyć sobie głowę nad jakim projektem przemysłu i dobrobytu krajowego—a ospałość tych miljonerów i abnegacya rzeczy publicznych, nie pozwala im podążać ku pożytecznej drodze ekonomicznej. Zresztą, czyż nie mamy jawnych i niezbitych dowodów, które się z każdym oniemal dniem powiększają, że przybysze teutońscy całemi kupami zalewają nasz przemysł?

Tak miły czytelniku, są to rzeczy smutne ale niestety prawdziwe. Daj Boże by tym razem stało się inaczej i ażebyśmy otrząsnąwszy się z ospałości i abnegacyi, wypalili porządnego *szlema* Niemcom, którzy się niezawodnie uśmiechają do naszych zakładów *Dąbrowskich*.

* * *

Na rok akademicki 1875/6 studentom uniwersytetu Warszawskiego naznaczono następujące tamata do opracowania.

1) *Na fakultecie historyczno-filozoficznym.*

a „Satyry Kantemira w stosunku do źródeł i współczesnego im bytu."

b „Czas i myśl pierwotnego przywiązania do gruntu włościan na Rusi!"

c „Objaśnienia urywków Philochora i jego znaczenie dla starożytności ateńskich."

2) *Na fakultecie prawnym.*

a Z prawa międzynarodowego: „O kodyfikacyi prawa międzynarodowego."

b Z historyi prawa ruskiego: „Sfera atrybucyi wieca w książęcej epoce prawodawstwa ludowego starożytnej Rusi."

c Z ekonomii politycznej: „O rozmaitych formach posiadania ziemskiego i ich wpływie na gospodarstwo krajowe."

d Z prawa finansowego: „O kadastrze, jego rozwoju historycznym i znaczeniu ekonomicznem."

3) *Na fakultecie lekarskim.*

a „Krytyczne rozważenie rozmaitych sposobów otrzymywania morfiny, pod względem ich zalet—sposoby ilościowego oznaczenia morfiny według metod Kieffera i Fleury i zbadać, czy rozmaite części Papaver Rhoas zawierają morfinę — w jakich ilościach i połączeniach."

b „Zbadać rozdział chininy i cinchoniny w korach chinowych; oraz zdeterminować i zbadać chemiczne pasożyty, napotykane na tych korach" Jeżeli rozwiązanie tych kwestyj okaże się niedogodnem z powodu braku odpowiedniego materyału, to pożądanem by było zdeterminować i bliżej zbadać jadowite materye Aethusa Cynapium i Cicata virosa—lub zamiast tego złożyć szczegółowe badanie chemiczne foliorum Jaborandi.

Prócz tego pozostawiono na r. 1875/6 temata docenta Fudakowskiego, nierozwiązane w poprzednim roku, to jest:

„Zbadać jaki właściwie opóźniający lub wzmagający wpływ okazują niektóre sole i alkaloidy na chemiczne procesy trawienia"

„Znaleziono, że zmianom w ilości wydzielanego moczu, towarzyszą takie same zmiany w wydzielaniu kwasu fosforycznego. Wymagane jest sprawdzenie tych faktów w normalnym i niektórych w chorobliwych stanach;— oprócz tego, wymagane jest, w miarę możności, wypróbowanie dostrzeżonego wpływu niektórych środków (chlorkowych, jodowych, bronzowych, węglanowych połączeń niektórych alkolidów) na ilościową zmianę wydzielania moczu, a nawet całego azotu w moczu i następnie kwasu fosfornego."

4) *Na fakultecie fizyczno-matematycznym.*

a Z fizyki: „O podwójnem załamaniu światła."

b Z matematyki: „Rys teoryi funkcyj Bassela."

c Z botaniki pozostaje dawny temat: „O ziarnach proteinowych i krystalojdach."

* * *

Komisya konkursowa przy Dyrekcyi Rządowej Teatrów Warszawskich, na ostatniem posiedzeniu odbytem w dniu 11 (23) maja r. b., zajmowała się przysądzeniem dwóch premiów wyznaczonych w d. 5 kwietnia 1876 r. dla dwóch najlepszych utworów dramatycznych.

Z czternastu sztuk wyznaczonych do głośnego czytania w obec wszystkich członków komisyi, cztery ostatecznie współubiegały się o nagrody, a mianowicie: tragedya w pięciu aktach „Świętosław Igorowicz," komedya w 4-ch aktach "Pojedynek szlachetnych," sztuka w 5-u aktach "Dworacy Niedoli" i komedya w 1-m akcie „Fałszywe blaski."

Komisya nie przyznała żadnemu z tych 4-ch utworów pierwszej nagrody, dla powodów, które wyłuszczone będą w obszernem motywowanem sprawozdaniu; drugą nagrodę otrzymała komedya „Pojedynek szlachetnych."

„Świętosław Igorowicz," Dworacy Niedoli" i Fałszywe blaski" zalecone zostały do grania, również jak komedya w 3-ch aktach p. t. „Blaga."

Po otwarciu kopert z nazwiskami okazało się że autorem sztuki „Pojedynek szlachetnych," która otrzymała drugą nagrodę, jest pseudonim *Sewer*, autorem „Świętosława Igorowicza" *Paulin Stachurski*, Dworaków Niedoli," *Zygmunt Sarnecki*, „Fałszywych blasków" *Zofia Mellerowa*, „Blagi" *Jan Jordan*, autor „Wędrówek delegata."

Komisya zawiadamia niniejszem autora komedyi premiowanej i osobę mającą upoważnienie do odbioru pieniędzy, że nagroda rsr. 300 przypadająca za komed. „Pojedynek szlachetnych,“ jest do odebrania w biurze Dyrekcyi Teatrów.

Kwota rsr. 600, to jest nieprzyznana pierwsza nagroda, pozostaje do dalszego rozporządzenia.

* * *

Jużto poeci i poetki — ach przepraszam, chciałem powiedzieć poetki i poeci — piszą bardzo ładnie, bardzo pięknie, bardzo tkliwie, lecz nie zawsze zgodnie z prawdą—z rzeczywistością.

Powiedziano naprzykład:

„Wiosna, wiosna
Myśl radosna,
Z ciepłem słonka tchnieniem płynie“ i t.d.

A to kłamstwo wierutne. Bo gdzież tu dziś, proszę państwa, wiosna? Chyba tylko w kalendarzu i u poetek w serduszku, nigdy nie starzejącym się. — Bo w rzeczywistości tak w Warszawie jak i na prowincyi to *in sumo grado* jesień i to jesień taka, jakiej nie pamiętają o tej porze nawet pradziadkowie i prababki. Gdzież tu jest więc ciepłe tchnienie słonka z którem ma płynąć radosna myśl? Zimno polarne aż kości trzeszczą, a radosna myśl płynąć nie może, bo aż kieszeń zamarza i głowa puchnie od powiększonych wydatków drzewem i węglem kamiennym, a od czego nareszcie *wiosną*, chciałby się człowiek wykpić. Nawet w budżecie domowym zaprojektowało się pewne oszczędności z powodu przewidywanego urzędownie oniemal ciepła wiosennego. Aż tutaj wiosenka miła urządza *krach*.

Oj biada ci biada ty wiosno śnieżysta,
Na tobie w tym roku strata oczywista
Złapałaś nas djablo w swe ponętne sidła,
Oj wiosno, ty wiosno zimna i obrzydła.

Ale przepraszam, wdałem się w nieswoje rzeczy. To niby coś na częstochowską poezyę zakrawa. A ja do tego nie mam pretensyi, najmniejszej pretensyi. Chciałem tylko zaproponować poetom i poetkom — ach bodajże mnie znów się zapominam, przecież pierwszeństwo płci nadobnej zawsze się należy — chciałem tedy zaproponować poetkom i poetom naszym maleńką poprawkę co do wiosny—ażeby ją z innej cokolwiek przedstawili strony:

Nie w różnobarwnej szacie kwiecistej
Lecz w śnieżnej zimnej i dobrze dżdżystej,

która mówiąc dalej prozą, wymaga od nas futer i paltocików watowanych, albo tych angielskich w rodzaju szlafroków.

Lecz cóż jest zmienniejszego nad kolej wypadków w życiu ludzkiem? Ten i ów w nadziei ciepła zastawił futerko, tamten znów sprzedał paltocik, ażeby módz się ubrać w szykowne paletko wiosenne. Bo w ten sposób ludek boży często sobie radzi; wiosnę chce opędzić kosztem zimy, a zimę kosztem lata, aby, jak to mówią, handel szedł—każdy orze jak może, powiada przysłowie. Tym razem wszakże przerachowaliśmy się i przyznać musimy słuszność przysłowiu temu: *Trzy są rzeczy zmienne: łaska pańska, gust kobiet i ciepło wiosenne.*

* * *

Od poezyi do poezyi to tak niedaleko jak od serduszka szesnastoletniej panienki do serduszka siedmnastoletniej panienki. A cóż to za piękna rzecz te serduszka młodziuchne.—Ho, ho, ho, co tam marzeń, co tęsknoty, a jakie to piękne, a jakie stałe, a jakie wonne, jak pączek rozkwitający róży... Lecz ostrożnie przyszłe obywatelki, miejcie serduszka pełne zapału do wszystkiego co piękne, pełne miłości bliźniego i litości dla nędzy — lecz ostrożnie, powiadam, zamknijcie je na klucz rozwagi i rozumu, dobrze poznajcie wpierw tego komu z nich ofiarę uczynić będziecie chciały, ażebyście pereł nie rzucały w błoto. Bo wierzcie feljetoniście, dziś na świecie trzeba nadzwyczaj ostrożnie postępować, bo ścieżkom życia nie przyświeca już tak gorące jak dawniej słoneczko, lecz owiewa je dużo chłodu, dużo zimna, tak że nieraz zamienia je na ślizgawice. A na takich ścieżkach, gdzie w miejsce wonnych róż posypano szron błyskotliwy, pośliznąć się najłatwiej. Dziś dobrze wpatrywać się trzeba, dobrze obserwować, ażeby ominąć takie ślizgawki. Ale co to może serduszko panieńskie — na jakie to rozumowania zaprowadzićby mię mogło, nawet wtedy gdy o czem innem chcę mówić. Wybacz mi więc czytelniku przez wzgląd na uprzejmość dla płci nadobnej. Chciałem tedy mówić o poezyi w związku z tępicielami lasów.

— Co, co, co,—co ty mówisz?

A tak, o poezyi i o tępicielach leśnych.....

— Cóż to ma jedno do drugiego.....

Bardzo wiele, proszę państwa, bardzo wiele...

— Ciekawa rzecz, jakimże to sposobem?

Bardzo prostym. Czytałeś oto nieraz miły czytelniku w prasie naszej niejedną naganę, z powodu coraz to wzmagającej się siły, z jaką tępią lasy nasze, tak *kulturträgerzy* z nad *Schprei*, jak niemniej pejsaci i niepejsaci Szmulowie. słowem *ludek wybrany i błogosławiony* nad Wisłą, Wieprzem etc., etc. Tępienie to, napychające krociami rubli kieszenie i jednych i drugich, tępi dobra materyalne obywateli ziemskich i wiedzie do stagnacyi bogactwo naszego kraju, mającego poniekąd i słusznie, opinję bankruta rolniczo-leśnego. — Tu i owdzie w prasie naszej robiono uwagi mniej więcej w tym sensie: że nie dziwimy się tyle *kulturträgerowi teutońskiemu*, który wciskając się do nas jak kret do nory, robi świetne interesy, jak również nie dziwimy się pijawce miejscowej w postaci Szmula z nad Wieprza lub innej rzeki, że nas obdziera niemiłosiernie, że nas sprzedaje, traduje i kupuje żywcem—lecz dziwimy się ospałości i lekkomyślności własnej, że dopuszczać możemy do tyle zgubnych dla nas i przyszłych pokoleń naszych pertraktacyj. W tym sensie powiadamy, pisaliśmy dotąd tu i owdzie prozą, aż oto teraz p. Gomulicki w Tygodniku Illustrowanym przywoławszy na pomoc muzę, zadrgnął na ten temat w struny poezyi—a przyznać trzeba, że zadrgnął prześlicznie — duszą prawdziwej poezyi i miłością prawdy, dając nam obrazek *„Z królestwa dębów i sosen.“*

Mamy wielką ochotę rekomendować czytelnikom naszym przeczytanie całego tego obrazka, znajdującego się w NN. 20 i 21 *Tygodnika*. Tym zaś z czytelników, którzy nie będą czytać powyż zacytowanych numerów, przytoczymy jeden rozdzialik, z tem jednak nadmienieniem, że wszystkie rozdziały są równie piękne i równie prawdziwe.

Przytaczamy tedy rozdzialik II.

„Wśród robotników zgiełkliwej gromady.
Poważnie handlarz przechadza się śmiały,
Z Bambusem w ręku i cygarem w gębie,
Czasem, na świeżym stanąwszy porębie,
Jak tryumfator rozgląda się w koło,
Liczy na palcach i trze nizkie czoło;
Czasem rozkłada fular na kształt żagla
I do pośpiechu gromadę przynagla;
To znów, w kieszeni brzęcząc pękiem kluczy,
Do towarzysza swojego coś mruczy,
Do towarzysza, co w letnim nankinie
O lisiej bródce i o lisiej minie,
Jakby go chodzić nauczono wczora,
Suwa się za nim o kroków półtora.
Słuchaj ty Szmulu (mówi), kto nie głupi,
Ten drogo sprzeda, ale tanio kupi,
A to rzecz pierwsza w każdym interesie.
Ja sto tysięcy zyskam na tym lesie;
Czemu? bom działał ze spokojem wielkim,
A to rzecz druga w interesie wszelkim.—
Tak tak Szmul mruczy i szyję wyciąga,
Ta głupia szlachta niewarta szeląga,
Jednak z niej można wycisnąć miljony;
Potrzeba tylko wiedzieć z której strony
Wiatr wieje . .. Zrestą, jest-to pewnik stały,
Ze w nas jak w gąbkę siąkną kapitały
I że z rąk naszych nie się nie wyśliźnie;
Co szlachcicowi dasz dziś w gotowiźnie,
Wróci, jak wraca źrebię do stadniny.
Słuchaj ty, Szmulu! Jużby dzisiaj może
Na tych tu polach rosło *nasze* zboże,
I ludby ziarno zwoził do stodoły
Na wozach, w *nasze* zaprzężonych woły;
Jużby tam może, gdzie dwór widać biały,
Nasze się śpiewy wdzięcznie rozlegały
I (tu cmoknąwszy w tył zesunął czapkę)
Naszeby dzieci grały w ciuciu babkę;
Ach! jużby może w tej leśnej ustroni
Matka, podbródek oparłszy na dłoni,
Cała w brylantach, spoglądała z ławki
Na swoich dziatek rozkoszne zabawki;
Jużby ... lecz świętą jest Jehowy wolą,
Żeby z nasz żaden nie trudnił się rolą
I na rolników patrząc okiem wzgardy,
Miał za cel życia—kupieckie hazardy.
A Szmul dokończył: Ny co tu się spierać?
Niech oni sieją—*my* będziemy zbierać!“

ZIEMIA PRZED POTOPEM.

(Dalszy ciąg.)

Epoka trzeciorzędowa.

Nowe rozwoje życia napotykamy w epoce trzeciorzędowej. Prawie wszystkie zwierzęta uległy znacznym zmianom w swym ustroju, a co więcej wystąpiły ssaki.

W czasie epoki przechodniej, skorupiaki i ryby panowały w królestwie zwierzęcem, w epoce drugorzędowej ziemia należała do płazów, z kolei rzeczy w epoce trzeciorzędowej władcami kuli ziemskiej stają się zwierzęta ssące.

Pomijając niekształtne zwierzęta workowate należące do tego rzędu, których wytwór

sięga okresu jurasowego, pierwsze ssaki były zwierzętami gruboskórnemi. W ciągu pierwszego z trzech okresów składających epokę trzeciorzędową, czyli w okresie eocenicznym prawie same tylko gruboskórne przejawiają się na ziemi. W czasie drugiego i trzeciego okresu tej epoki, to jest w miocenicznym i pliocenicznym, wystąpiły zwierzęta należące do innych gatunków fauny, dziś zniklych z powierzchni ziemi, a odznaczających się tak osobliwością ustroju jak i olbrzymim wzrostem.

Większa część gatunków wytworzonych w ciągu ostatniego czyli plioceniczego okresu epoki trzeciorzędowej, dziś jeszcze istnieje. Z płazów, salamandry tak wielkie jak krokodyle, przejawiają się obok rzędu ssaków. W tymże czasie ukazały się ptaki lecz w znacznie mniejszej ilości niż ssaki.

Morza ówczesne zapełnione były jestestwami wszelkich gromad, równie rozmaitemi jak za dni naszych. Napróżno jednak poszukiwalibyśmy wśród mórz trzeciorzędowych tych amonitów, belunitów i hipeczytów, które żyły w oceanie epoki drugorzędowej i rozradzały się w nieprzeliczonem mnóstwie. Natomiast mięczaki opatrzone muszlą, przypominały kształtem dziś się utrzymujące.

W epoce trzeciorzędowej życie zwierzęce dochodzi zupełnego rozwoju. Mięczaki przebywające w skorupach mikroskopowych, dziurkowce i mummielity zapełniały morza w tak zbitych szeregach, że szczątki z nich pozostałe, wytworzyły pokłady dochodzące w grubości tysiąca stóp polskich.

Przejmuje nas podziwem nadzwyczajny rozwój życia, jaki napotykamy w tej epoce zwierząt doskonałej organizacyi, znachodzimy bogatą roślinność. Flora trzeciorzędowa zbliża się i prawie jednoczy z dziś istniejącą. Rośliny dwuliścienne wydają przepyszne kwiaty i okazałe owoce.

Srebrne kłosy zbóż odbijają się od ciemnej zieloności łąk rozległych. Zdają się one wywoływać rozwój owadów, które wówczas rozrodziły się niesłychanie w lasach brzozowych i dębowych. Atmosfera oczyszczona i oswobodzona z pary wodnej, dozwala tym zwierzętom, opatrzonych delikatnemi organami płucnemi, żyć i rozradzać się w najrozmaitszych gatunkach. W ciągu epoki trzeciorzędowej, wpływ ciepła pochodzącego z głębi ziemi, już nie daje się usuwać na jej powierzchni, gdyż ta nabyła znacznej grubości. W skutek wpływu ciepła słonecznego, znachodzimy różnice w klimatach pod rozmaitemi szerokościami, gdyż jakkolwiek temperatura ziemi ówczesnej zbliżała się do właściwej dzisiejszej strefie gorącej, wszelako w tej epoce zimno przejawiało się już w obu biegunów.

Rzęsiste deszcze spadały jeszcze na lądy, i zasilały je rzeczywistemi rzekami wody. Wówczas to zaczęły się wytwarzać osady wód słodkich, rzeki wyformowały nowe warstwy. W epoce trzeciorzędowej występują pokłady mieszczące w sobie na przemian jestestwa organiczne morskie i właściwe wodom słodkim. W końcu epoki trzeciorzędowej lądy i wody zajmują położenie jakie dziś znachodzimy, a powierzchnia ziemi przyjmuje obrysy obecnie istniejące.

Epoka trzeciorzędowa obejmuje trzy różne od siebie okresy, eoceniczny, mioceniczny i plioceniczny. Z tych nazw pierwsza wyraża jutrzenkę labiską, druga bliższą. trzecia najbliższą, co ma oznaczać, że trzy te okresy są mniej lub więcej zbliżone do *jutrzenki*.

Terminologia to dziwaczna i naciągana, zwyczaj ją uświęcił, i dla tego ją przyjmujemy.

Okres eoceniczny.

W ciągu tego okresu, lądy nabyły większej rozległości, poprzerzynane tu i owdzie rzekami obejmowały prócz tego wielkie jeziora. Krajobrazy z tego okresu reprezentują osobliwszą mieszaninę, zaznaczoną już przez nas w epoce poprzedniej, a mianowicie jednoczenie się roślinności czasów pierwotnych z dziś istniejącą, obok brzóz, olch, dębów, grabów, wiązów i orzechów, występywały wyniosłe palmy należące do gatunków obecnie zniklych, jako to: *Flabellaria* i *palmacites*. Rozradzały się też drzewa szyszkowe należące do rodzajów utrzymujących się w naszej epoce, jako to: sosny. jodły, cisy, a przedewszystkiem cyprysy, tuje, jałowiec i t. p.

Z jodłowców *kupaniojdy*, z dyniowatych melony, rozradzały się wówczas obficie, a rośliny im pokrewne podobne dzisiejszym przestępom, wiły się, rozwieszając na drzewach prześliczne festony.

Z paproci wystąpiły rodzaje *Pecopteris, Tacuiopteris, Aspetenium polipodites.*

Mchy zwłaszcza też wątrobowe (Hepatricae) tworzyły skromną lecz wytworną roślinność, obok krzewów lądom właściwych.

Skrzypy i ramienice (Chara) rozrastały się na bagniskach, rzekach i stawach.

Obok tych gatunków flory, przejawiły się rośliny dziś istniejące, stanowiąc ornamentykę wód cichych: Do takich należały orzechy włoskie (Trapa naturas), z liśćmi zielonemi i ząbkowanemi, opatrzonemi ogonkami wrzecionowatemi, które lud nasz nazywa koteczkami. Owoc ich składa się z orzecha twardego, łykowatego opatrzonego czterema rogami ciernistemi, wewnątrz którego mieści się mączka wybornego smaku. Prócz tego krzewiły się *potamogetomy* o mniej lub więcej szerokich liściach i formowały gęste pęki zielone, w których ryby znajdowały pokarm i schronienie. Z rodziny grzybieniowatych, rozwijały się szerokolistne grzybnie żółte (Nuphar luteum) i białe czyli tak zwane lilje wodne, (Nymphaea alba).

Florę eoceniczną składało przeszło 200 gatunków; z których 143 należało do roślin dwuliściennych, 33 do jednoliściennych i tyleż do skrytopłciowych.

Wypada nam zaznaczyć, że w epoce trzeciorzędowej, rozradzało się w Europie wiele drzew dziś właściwych Nowej Holandyi, do jakich należą rośliny proteuszowate (proteaceae). Rodzina czułkowych (Minioseae) rozrodzona obecnie na całej półkuli południowej, była wielce pospolitą w Europie w tymże okresie geologicznym. Ssaki, ptaki, płazy, ryby, owady i mięczaki, tworzyły faunę lądową epoki eocenicznej. W jeziorach przebywały olbrzymie pelikany, żyły mięczaki i żółwie. Słomki szukały schronienia w sitowiu rosnącem na pobrzeżach, jaskółki morskie unosiły się po nad powierzchnią wód, sowy kryły się w dziuplach drzew spróchniałych, sokoły bujały w powietrzu upatrując zdobyczy, a krokodyle pełzały zwolna w pośród wysokich traw bagniskowych. Francya posiadała wówczas wszystkie te zwierzęta, a temperatura jej była nierównie wyższą od dziś istniejącej.

Obok gruboskórnych głównych przedstawicieli okresu eocenicznego, przejawiają się inne ssaki, jako to: niedoperze, zwierzęta workowate i gryzące, zwierzęta dziś najliczniejsze zwane przeżuwającemi, woły, jelenie, barany, kozy i antylopy, nie istniały w owym czasie, a konie wystąpiły dopiero w końcu epoki trzeciorzędowej. Owadożerczych, do których należy jeż, kret, chomik, nie znachodzimy w warstwach odpowiadających temu okresowi. Gatunki gruboskórnych reprezentujące dziś dość ograniczoną liczbę zapełniały wówczas połowę gromady ssaków, przeciwnie gryzące obecnie wielce rozrodzone, liczyły wtedy zaledwie kilka gatunków.

Z tworów skrzydlatych tak zwany *ptak z Montmartre*, z ssaków niedoperz kopalny, *Vestepilio parisiensis*, z płazów krokodyl zwany *aligatorem wyspy Wight* (Toliapieus), z żółwi *Tryonix*—są głównemi przedstawicielami fauny eocenicznej. Zresztą jak powiedzieliśmy wyżej, gruboskórne odnośnie do liczby gatunków, zajmowały w pośrod tych rzesz zwierzęcych pierwsze miejsce. W tej klasie znachodzimy też wiele ogniw pośrednich, łączących te zwierzęta z dziś istniejącemi gruboskórnemi. Cuvier ze skieletów ich odbudował całość i określił ściśle organizm tej fauny, a późniejsze wykopaliska najdokładniej stwierdziły ustroje przez niego wskazane. *Palaeotherium*, i *Anoplotherium* są pierwszemi ssakami kopalnemi odtworzonemi przez tego znakomitego przyrodnika.

Palaeothorium, Anoplotherium i *Xiphodon* były zwierzętami gruboskórnemi, trawożernemi i żyły w wielkichstadach. Ozganizacya tych jestestw przedstawiała mieszene cechy nosorożca, konia i tapira.

Według Cuviera nos u *Palaeotherium* kończył się trąbą muskularną, mięsistą, krótką, podobną do tej jaką tapir jest obdarzony. Głowa tego zwierza, dorównywającego wzrostem koniowi, była ogromną, oko miał małe, głupowate, ciało przysadziste, nogi krótkie, grube, opatrzone trzema palcami pokrytemi kopytem. Liczne stada wielkiego palaeotherium, przebywały w dolinach starożytnej kotliny otaczającej Paryż. Małe palaetherium przypomina tapira, a lekkiemi nogami sarnę, od której było jednak mniejszem. Zwierzę to żyło w północnej Francyi, żywiąc się dzikiemi roślinami. Wreszcie istniała jeszcze trzecia odmiana tegoż zwierzęcia w okolicach Paryża i Owernii, nie przechodząca wzrostem zająca.

Anoplotherium z postaci do osła podobne, posiadało głowę lekką ogon $3\frac{1}{2}$ stóp długości mający, przy nasadzie gruby, który posługiwał za ster i wiosło gdy zwierzę przebywało wpław jezioro lub rzekę, nie dla tego aby miało chwytać ryby, gdyż żywiło się pokarmami roślinnemi, lecz w celu obgryzania korzeni roślin wodnych. Anoplotherium miało zęby trzonowe tylne, podobne istniejącym u nosorożca, stopy zakończone dwoma wielkiemi palcami,

jak to ma miejsce u przeżuwających, a przegub palcowy zupełnie prawie podobny napotykanemu u wielbłądów.

Anoplotherium mniejszego wzrostu zwane *zającowatem*, (Anopleherium, leporinum) posiadało nogi zastosowane do szybkiego biegu. *Anoplotherium minimum et obliquum* nie przechodziło wzrostem szczura. Małe te zwierzątka zamieszkiwały pobrzeża rzeczułek i strumyków. Hiphodon wysmukły, trzy stóp wysokości mający, przypominał postacią kozę dzika, różniąc się od niej większą lekkością ustrojową i mniejszą nierównie głową.

Anoplotherium było zwierzem ciężkiem. Hiphodon przeciwnie posiadał niepospolitą zwinność, przebiegał szybko jak gazella pobrzeża bagnisk i stawów, gdzie w młodych krzewach znachodził ulubione swe pożywienie.

Kopalnie gipsu w okolicach Paryża, zawierają szczątki wielu innych gatunków zwierząt gruboskórnych, jako to: kości *Świni rzecznej* (Choeropotamus). podobnej organizacyą do dziś żyjącego Pekary, chociaż znacznie większej od niego; *Adopisa* kształtem zbliżonego do jeża, lecz trzy razy przechodzącego wzrostem to zwierzę; *Leophiodona* więcej pokrewnego tapirom niż Anoplotherium, wzrostu wielce rozmaitego. W rzeczy samej jedne gatunki nie przechodziły wielkością królika, inne dorównywały nosorożcowi.

Bogactwo i rozmaitość kształtów przejawia się w faunie trzeciorzędowej. Z ryb występują po raz pierwszy flondry, ze skorupiaków, raki pancerne zwane *krabami*, z mięczaków oliva, tryton, przyłbica (Bassis), arfa (harpa), crebidula, i inne. Zwierzokrzewów rozradzało się wówczas mnóstwo, dziurkowce tworzyły liczne stowarzyszenia. W łonie mórz, zdala od brzegów żyły numneulity, jestestwa niższego rzędu, których wapienne pancerze złożyły znacznej grubości pokłady trzeciorzędowe. Wapień zwany *numulitomym* wyformował pasmo gór pirenejskich, a w Egipcie rozległe ławice. Z tego to wapienia budowano starożytne piramidy. Ileż to wieków upłynąć musiało, za nim skorupki tych zwierzątek wytworzyły warstwy tysiąca stóp grubości dochodzące! W morzach eocenicznych żyły miljonity w takiej obfitości, że z pancerzy ich wytworzyły się ogromne skały wapienne, które posłużyły do budowy Paryża. Piaskowce i wapienie mumulitowe, składają utwór eoceniczny, którego reprezentantem wyrazistym są nasze Tatry i Bieskiedy. Skały doliny Kościelskiej, góra Segial przy wielkim piecu w Zakopanem, złożone są z pancerzy mumualitowych. Dolomity mumualitowe taterańskie, spoczywają bezpośrednio na szarym wapieniu tejasowym, należacym do utworu jurasowego, z którego właściwie Tatry wapienne powstały. Piaskowiec szary trzeciorzędowy przejęty numulitami, występuje wzdłuż pasma Alp, Apeninów, Pirenejów, przechodząc do Marokko i Egiptu, do Krymu i Indyj wschodnich. Wielką kotlinę paryzką zapełnia piaskowiec i wapień, tudzież powtarzające się na przemian pokłady iłów, margli i gipsów.

Do utworu eocenicznego zaliczamy niemniej osady spoczywające na kredzie w okolicach Bordeaux i Nosimoutier we Francyi, na wyspie Wight i Hamshire w Anglii, i w pobliżu Boom w Belgii Napotykamy je niemniej w dolinie rzeki Missisipi, a w Rossyi w guberniach: Pułtawskiej, Woroneżskiej, Tambowskiej i Penzeńskiej. (d. c. n.)

NIEWOLNIK.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

(Dalszy ciąg.)

Z przybyciem Zawady Karol na nowo wycofał się z bliższej spójni z otoczeniem Karpowiczów, rozerwawszy powabny związek z kapitanową, czuł się dumnym przed sobą. Oburzał się na idyotyzm, stryjenki która wyraziła się o Janie, że poczciwym zapewne ale strasznie pospolitym i surowym jeszcze jest chłopcem, a czuł się szczęliwym wśród prac, zajęć i przestawania z Zawadą.

Myśl pożegnania go znów na czas dość długi, boleśnem osieroceniem groziła mu. Usuwała się dźwignia jego duszy. Zawada odjeżdżając zabierał z sobą część tego ciepła które ożywiało Karola — w świecie zewnętrznym zostawała znów próżnia. Karol dziwnie obawiał się tego odjazdu, jak zakochany prosił Jana o jeden dzień choć jeszcze, choć o kilka godzin.

— Nie bądźże dzieckiem, mówił mu Zawada. Ja muszę jutro rankiem ruszyć w podróż, bo idę pieszo a obiecałem przybyć przed południem.

— I zostawisz mię jak dzieciaka w pokoju bez świecy. Wiesz co?... i zamilkł.

— A to odprowadź mię kawałek, rzekł Jan, zawahał się chwilkę i dodał — że już dali nie śmiem cię prosić...

Karol wybuchnął dziecinną radością.

— Nie śmiesz! A ja już od rana myślę jakimby sposobem wprosić się choćby przemocą. Czy ty wiesz jak ja się cieszę z tego wołał ściskając Jana. Toż to marzenie moje poznać twoję rodzinę, rodzinę takiego jak ty człowieka. Choćbyś mi nie rad był, chwytam się sposobności! I to jeszcze pieszo — taka wyprawa, zabawię u was ze dwa dni. A doprawdy, upiję się chyba z radości!

Zaczął kręcić się po pokoju, chwyciwszy w pół Zawadę uradowanego jego entuzyazmem.

— Więc jutro, o świcie. Pysznie, cudownie! Lecę uzyskać koncessyę na tę wyprawę! Ale powiedz! zawołał zwracając się ode drzwi może wam jaką róznicę zrobię?...

— Ale przeciwnie, moi starzy znają już ciebie i bardzo będą radzi!

— Nie może być! Uściskał Jana raz jeszcze i wybiegł śpiewając na całe gardło.

Nazajutrz o świcie dwaj młodzi podróżni wyruszyli za rogatki miejskie. Prześliczny był letni zaranek skąpany w rosie. Mgły po dolinach jak spóźnione z nocnej wędrówki białych duchów gromady, trwożliwie nikły, sklepienie niebios rozprzestrzeniało się na przestwór zarumienione, barwne i ciepłe od wschodu, gdy z drugiej połowy uciekała w bezdna niebios noc ciemno-sina z chłodem. Niwy w pół zżęte kołysały się zlekka jakby dzremiące jeszcze, lasy wspaniale jakby przedumawszy noc, czekały słońca. Uroczystą ciszę przerywał tylko — świergot w krzewinach, głos przepiórki i głos oracza prowadzącego pług na rolę...

Karol odczuwał w całej pełni piękność poranku, lubował się szerokiem oddechem sprężystszego powietrza, głosem swym płynącym gromko i daleko. Zachwycał się majestatycznym pochodem słońca, co już straciło w niebie swą przewodniczkę jutrzenkę, robił stąd zwroty i porównania. Z całą obfitością radosnego umysłu przerzucał się z przedmiotu na przedmiot, żartował i śmiał się; od poważnej myśli wysnuwał pomysł pocieszny — z pustoty przechodził do szlachetnego zapału, słowem był ożywiony, świeży i rzeźwy.

Zawada podtrzymywał ten stan jego umysłu, poważniejszy był jednak daleko, powiedziałbym nawet że znaczną częścią swej duszy zamknięty w sobie. Nie przeszkadzało to im jednak w najprzyjemniejszy sposób skracać sobie długą i mniej więcej jednostajną drogę, szczerą urozmaiconą rozmową. Odpoczywali i posilali się na brzegu lasu, znów szli nie czując zmęczenia.

Zawada zbliżając się do celu podróży, zwracał coraz częściej uwagę towarzysza na miejscowość, sprowadzał pogadankę na różne strony miejscowego życia i jego warunki. Przytem spotykał coraz więcej znajomych. Przechodząc przez wioski, to witał się serdecznie z starcem jakim siedzącym na przyzbie chaty, to gawędził z idącym jedną drogą gospodarzem, lub rozpytywał się o różne szczegóły matuli idącej z wiadrami po wodę, a każde „szczęść Boże" rzucone żniwiarzom, powracało radosnem: „Boże dopomóż." Wszyscy z serdeczną szczerotą witali w Zawadzie szanownego przyjaciela.

— Jak ciebie tu wszyscy kochają, wołał Karol, jaki to poczciwy naród. Widocznie blizko już jesteśmy od twego gniazda, bo zdaje mi się że czuję jego atmosferę!

— Blizko już jesteśmy, ale boję się twego rozczarowania. Proste tam wszystko, skromne. Z tej górki już zobaczysz moje gniazdo. Ot i widzisz tam w dole pod lasem!

U stóp przeciwległego wzgórza pokrytego lasem, widać było ujęte w zagajeniu zabudowania. Nie wielki biały domek z podwórzem czystem, które żywopłot otaczał, a ocieniał wielki dąb rosochaty, schludnie wyglądał, ustrojony w kwiaty pod oknami na tle czarnego boru. Ogród z jednej strony, z drugiej symetryczne kształtne budynki, dokoła ogrodzenie, drzewa, porządek, ład i zamożność. Strumień przepływający w dole rozszerzał się tu w sadzawkę a przy niej młynek turkotał, dróżka wysadzona drzewami, łączyła się z gościńcem skręcającym u stóp pochyłości góry i wiodącym do poblizkiej wsi wsi zasłoniętej w części lasem. Za łąką nad strumieniem, falistą powierzchnią rozciągały się pola starannie uprawne, a na bliższym ich planie, spora gromadka żniwiarzy pracowała właśnie ochoczo.

— Tu masz wszystko jak na dłoni rzekł Jan. Ten cały obręb oczyszczony z zarośli i wyrównany aż pod tamte krzaki i błota, to nasz grunt a tam nasza siedziba.

*

— Ślicznie! wołał Karol zatrzymawszy się, wodząc oczami dokoła — jak tu dobrze żyć. Wyście to wszysko stworzyli!

— Prawie własnemi rękami. Ot patrz pod tym dębem co stoi na podwórku, rodzice moi żyli całe pół roku w szałasie, jak pionierowie amerykańscy. Tu dokoła miałeś zarośla, moczary i wertepy, za mojej pamięci jeszcze na tej drodze ludzie wozy łamali w błocie, a tamtędy gdzie ten łan pszenicy, zając się nawet nie puszczał bez obawy skręcenia szyi. Mój ojciec tam jest... widzisz? Nie daleko żniwiarzy prowadzi konne grabie, swego pomysłu i swejroboty, a tam dziewczęta — oho zobaczyły nas i biegną.

Dwoje dziewcząt w słomianych kapeluszach, można było odróżnić przy żniwiarzach, którym właśnie rozdzielały... wódkę zapewne (choć to mniej estetyczne). Młodsza z dziesięć lat mieć mogaca, spostrzegła pierwsza stojących na wzgórzu podróżnych i skwapliwie ukazała ich, o pięć lat może starszej towarzyszce. Z niecierpliwością doczekawszy że ostatni robotnik został obdzielony, pobiegła z wesołym śmiechem ku przybyłym, starsza zaczeła ją doganiać, zrównały się wreście i trzymając się za ręce lekko, zszczebiotem biegły na spotkanie brata. Zbliżając się zwolniły kroku, jakby stropione widokiem nieznajomego. Dwaj przyjaciele podążyli ku nim. Obie były blondynki, ubrane jednakowo w różowe spodniczki i białe koszulki.

— Starsza, to moja siostra, dziecinna jeszcze bardzo, gdyby nie ty, zaręczam, że ścigała by się z małą swoją wychowanką, mówił Karol.

— Wyszłyśmy dziś umyślnie na twoje spotkanie Jasiu, zawołała starsza witając, brata pocałunkiem.

— Mój kolega Karol Skarzycki.—Moja siostra Helena.

— Bardzo chciałam pana poznać, rzekła panienka, odpowiadając na grzeczny ukłon Skarzyckiego i patrząc nań z naturalną ciekawością.

Karol zaambarasowany był temi szczeremi słowy i nie wiedział co powiedzieć na razie, wybawiła go jednak z kłopotu naiwność małej dziewczynki, która w ten sam sposób powitała go co Jana, t. j. podając mu do pocałowania swój rumianny buziaczek.

— A więc odrazu bądźmy jak starzy znajomi, zawołał wśród śmiechu brata i siostry i podał rękę Helence, która z życzliwym uśmiechem dała mu dłoń do przyjacielskiego powitania.

Było to prawdziwe wiejskie dziewcze w pierwszym rozkwicie młodości. Świeżości ą zdrowia, pełną była jej postać udatna. Twarz jej kształtnych rysów, ożywiona biegiem i spotkaniem, tchnęła żywością. oczy ciemnostalowej barwy miały rozumny wyraz oczu brata, zmiękczony przemawiającą otwarciej dobrocią, i czystszym blaskiem niewinności. Gdy stała obok brata nasuwało się porównanie zbliżonych ich rysów, lecz co w Janie było spokojną, jawną pewnością siebie, w Helence było czułą wrażliwością — co w nim powagą, w niej wdziękiem równie naturalnym, jak nieświadomym siebie.

— Miła niespodzianka! wyrzekła z uśmiechem, ale, że pan zgodził się pieszo odbyć tak daleką podróż! Pan musi być bardzo znużony.

— Nie czuję nawet żem szedł, uważam to za małą przechadzkę. Czy pani sądzi, że tak mała podróż może znużyć?

— Nie wiem, nigdym tak daleko nie chodziła, choć nieraz z bratem robiłam dalsze wycieczki, —

— W jakim celu?

— Herbaryzując.

— Więc pani zajmuje sią botaniką? zawołał zdziwiony Karol.

— Z zamiłowaniem.

— To moja uczennica najprzód a po tem prawa ręka we wspólnej nauce, odezwał się Jan. Trzeba ci wiedzieć, że korespondujemy z sobą gdy jestem w mieście, wspólne robiąc doświadczenia. Te listy kiedyś drukiem ogłoszę

— Tak! warto! poderwała śmiejąc się dziewczyna, szczególniej moje. Uśmiałby się pan czytając. Obok naukowych spostrzeżeń, lub zapytań—wiadomość to o tem, że Frania zaczyna być uważniejszą, to — że stary Ignacy zachorował — znów botanika — znów jaki gospodarski szczegół. Bo piszę w dzień wszystko co mnie i jego obchodzi a posyłam dopiero przy okazyi.

— Pan także zajmuje się roślinami a może?.

— Nie — ze wstydem muszę się przyznać że żadnej nauki specyalnie nie studyuję...

— Brat pana wciągnie! Jestem tego pewna.

— Ale! Wiesz Jasiu. Próba zupełnie się udaje, i dowiodę ci, że pokrzywa w niczem nie ustępuje konopiom, pokażę ci włókna — i powiem jak myślę ten gatunek ulepszyć. On mię zawsze straszy, że próbowano już i próby okazały niepraktyczność pokrzywy, ale ja mój gatunek doprowadzę do tego, że będzie praktyczny.

— Pokrzywą pani się zajmuje? odezwał się Skarzycki, mając na myśli porównanie, ale komplement choć szczery zamarł mu na ustach.

Stary Zawada ujrzawszy zbliżające się do niego towarzystwo a między nim nieznajomego młodzieńca, oddał grabie w ręce chłopca i skierował się ku nim. Był to przeszło pięćdziesięcio-letni mężczyzna, krzepki jeszcze lecz pochylony. Twarz jego muskularna, bronzową była prawie od słońca, oczy szare żywe z miłym wyrazem szczerości, brwi i krótko przystrzyżone wąsy białe. Zbliżywszy się unióst kapelusz uprzejmie i uścisnął rękę Karola w swych szerokich opalonych równie jak twarz dłoniach.

— Wdzięczny jestem synowi że pana ściągnął do mojej chaty. Odpocznie pan po pracy i odetchnie wiejskiem życiem! Proszę być jak w domu i za przyjaciół nas uważać — znam nieco ojca pańskiego — przyjemnie mi poznać i syna. Idźciesz do domu. P. Skarzycki i Jasiek potrzebują spocząć i posilić się — pomęczyli się chłopcy, ale to zdrowo. Ja jeszcze do orki zajrzę i pospieszę za wami.

Ruchliwy starzec szybko wyrzucał słowa, i bystro choć życzliwie patrzał w oczy Karola, który twarzą i słowy serdeczny dlań okazywał szacunek. Z daleka jeszcze wołał na syna wydając jakieś rozporządzenia.

— Przyjdę ja tam zaraz, a niech Halka i dla mnie przygotuje kwaśnego mleka! wołał.

Domek Zawadów, całe jego obejście stało się dla Karola wcieleniem sielskich opisów poetycznych, przemawiało tu wszystko urokiem pieśni Syrokomli lub Lenartowicza, urokiem w rzeczywistości nieznanym dla Karola. Coś więcej tu jeszcze promieniało z tych ścian, drzew, krzewów, z tej ziemi obiecanej. To piękno pracy świętej, pracy użytkującej i odpłacającej się naturze za hojność, uszlachetnieniem jej. Znać było tu wszędzie myśl, ład, miłość otaczającą owoc pracy, młodość sił i obfitość umysłu mieszkańców tworzących ciągle i utrzymujących wszystko w stanie kwitnienia i owocowania zarazem. Dom każdy ma swego ducha; wierzę w to jak Litwin stary, duch ten wszędzie odmienny, czasem biedny, suchotniczy, stęka gdzieś w kącie i ziewa, czasem jak kotek mruczy zasypiając wygodnie koło pieca, to znów jak stary zegar tykocze jednostajną piosnkę, lub z kanarkiem szczebiocze wśród bluszczu i oleandru. Czasem kilka duchów sprzecza się z sobą ustawicznie. Tu także kilku ich było ale zgodnie, po bratersku, nucili ciągle piosenkę szczęścia. Nie ustaliby jej nawet nucić, gdyby przyszedł dzień pochmurny, gdyby grom zachuczał; piosnka byłaby tylko bardziej rzewna, lub bardziej poważna.

Z tem wszystkiem mieszkanie to wyglądało dość prostaczo i z chłopska. Trzy pokoiki wszystkiego stanowiły właściwe mieszkanie, reszta wyglądała jak warsztat, w każdą porę roku inną zaprzątnięty robotą. Nieodzownej bawialni nie było tu nawet, była natomiast szersza izba ogólna, jadalnia, miejsce odpoczynku, zebrań, zabawy lub pracy. Wygodę, porządek i zamożność znać tu było. Był tu stół duży zawsze z chlebem i solą, wielki komin i piec na zimę, a czyste srerokie okna pełne kwiatów na lato, miękkie szerokie ławy pod ścianą, szafka pełna książek, druga z pokarmem i napojem dla ciała, inna na narzędzia i naczynia domowe.

Tu przybór myśliwski, na przedwiecznych łosich rogach, tu kantorek z pękiem kluczy, kalendarzem, z mnóstwem notat i drobiazgów gospodarczych, a po ścianach z myślą dobrane ryciny i obrazki. Z tej izby drzwi do sypialni — i dziewczęcego pokoiku.

W piękny dzień letni gościa nie przyjmuje się w mieszkaniu, gdy przed domem taki chłód, pod naturalnem sklepieniem dębu, gdy w koło kwiaty i krzewy. Gospodyni przyjmuje gościa w tym salonie tak prostym, gościnnym jak ona. Dla niej zresztą gość ten jest jakby synem już prawie. Kobieta ta nie młoda z godnością i dobrocią w twarzy, matczynej powagi pełna i słodyczy dobrodusznej zarazem. Otyła w miarę jak na dobrę gosposię przystoi, p. Zawadzina, mimo pospolitości rysów, zachowała wdzięk niewieści, w ubiorze jéj od pracy panuje czystość aż do świeżego czepeczka, na gładko przyczesanych włosach, jéj rysów twarzy nie widzisz po za wyrazem pociągającym, wyrazem świadczącym o wyższym umyśle i złotem sercu.

Helenka zastępuje matkę przy zajęciu, więc ta swobodną chwilę przepędza z synem Karolem, przywiązanym serdecznie. Zawadzina wi-

działa w Karolu dziecko opuszczone, któremu trzeba serca ludzkiego; przeczuwała w nim duszę bujną nie mającą się na czem przyjąć. Odrazu uczuła się w obowiązku przygarnąć go do siebie jak sierotę—odsunąwszy wszelkie względy światowe. Aby potrącić jego czułą strunę—potrzeba było zaczepić o jego egoistyczne uczucia, innych — z żalem wyznajmy tam nie było. Zawadzina instynktownie odczuła to i wkrótce Karol otwarł się przed nią z całą szczerością. Żalił się na swe życie — zazdrościł ludziom cichej pogody uczuć i myśli zgodnych z sobą i ze światem — wyznawał wiarę — tylko w swe nadzieje.

— Trzeba coś ukochać prawdziwie, mówiła matka Karola, coś coby nie było przemijające, doczesne, lecz wielkie i święte prawdziwie. Widzi pan nasze cierpienia, dokuczają nam bo siebie zbytnie kochamy, słabi jesteś my bo nas nie wspiera nic, coby niebyło nami lecz nas ogarniało i władało nami prawdziwie.

— Wzniosła jest myśl pani, ale czyliż serce ludzkie zdolne jest odrazu do takiej miłości. Do niej trudno wznieść się własną siłą, nie wyssawszy jej znikąd, nie wstępując ku niej po stopniach.

— Więc nie ma innej rady tylko zapomnieć trochę o sobie, złożyć jakby ofiarę dla wynagrodzenia tych braków... Ja nie znam filozofii kochany panie, czerpię wszystko z Chrystusowej nauki tylko—ale myślę że ona tu wystarcza...

Przybycie jej męża przerwało tę rozmowę. Zaczeła się inna potoczna, szczera i wesoła, a Karol dziwił się ciągle, patrząc na kobietę pracy, usłyszawszy od niej słowa tak proste a tak wielkie. Mniej już go zastanawiała trafność sądu jej męża, dzielność praktyczna jego rozsądku, a nawet oczytania. Nie pojmując dobrze jakim to stało się sposobem, uczuł że ci obcy ludzie stają się dlań niby rodziną, że ich serca ujął równie, jak swem do nich przylgnął. Nim podano obiad, Karol znał już ich stosunki rodzinne, znał historyą ich życia. Dowiedział się że miłość zacna połączyła Zawadę, z kobietą wyższej sfery towarzyskiej, po długiej walce z losem.

— Ona wspierała mię myślą wyższą, ona mnie wykształciła prawie, mówił ojciec Jana, za jej sprawą mam takie miłe gniazdko — bo czyliż by się na to zdobył prosty człowieczysko! — Ona zresztą wychowała dzieci takie... A! to cały romans łaskawy panie, tylko taki romans że może czytać go Helenka — ba i czyta w całem naszem życiu.

— A wiesz pan jaki romans mi się najlepiej podobał, zawołał Zawada, przerzucając się na inny przedmiot z właściwą sobie żywością. Bo to wy tam dużo takich rzeczy czytacie. Ot! „Pan Podstoli" Krasickiego. Gdybym był panem — to bym chciał być „Podstolim," tylko swoim zwyczajem porobiłbym tam niektóre zmiany i ulepszenia.

Gość przyjmowany od serca nie bywa pracowicie otaczany formami gościnności. Karol po obiedzie należał już do składu osób składających kółko domowe. Otaczał go ruch zajęć i naturalna barwa życia miejscowego a on wcielił się w nie ochoczo. Wraz z Janem powoził wozy w pole, podawał snopki, czynny udział przyjmował przy podbieraniu miodu w pasiece, a pod wieczór pomagał Helence zbierać jej len, gdy Jan sposobiąc wędkę, półżartem zniechęcał go do tak poziomej roboty.

Karol był w złotym humorze. Z werwą dowodził, że poezya nic nie traci na zniżeniu się do zajęć powszednich i najpatetyczniejsze ustępy naszych poetów deklamował z prawdziwym zapałem. Helenka z uśmiechem dopomagała mu ze swych zasobów pamięci, nawet Frania wypowiedziała wierszyk „Koło jeziora, z wieczora"...

— Najmądrzejszą z nas okazała się Frania, zawołała Helenka. Niech że pana to nie obraża dodała przerywając sobie słowa śmiechem podobnym do odgłosu lotu gołębi. „Dzieci przestańcie, bo się źle bawicie." To jakby umyślnie do nas, bo czyliż się godzi p. Karolu, takie święte słowa mówić ze śmiechem? To grzech, mówiła wracając do powagi. Coby powiedział duch poety gdyby nas podsłuchał?

— Powtórzyłby wam słowa Frani, odezwał się Jan.

— Nie, nie! wołał Skarzycki, słuchałby nas z prawdziwą pociechą. A może on słucha ot tam w cieniu tych grabów nad rzeczką? Mógłże by się gniewać za to że go kochamy?

— Którego z nich pani najwyżej ceni?

— Pan odemnie takiej szczerości żąda? To bardzo brzydko. Rwij pan lepiej, bo skąpa będzie zapłata.

— Więc nie dowiem się? Pani się gniewa? pytał Karol z jakąś tkliwością w głosie.

Halka spojrzała na niego i sądząc, że go uraziła, rzekła wesoło.

— Czemuż się mam gniewać. Otóż powiem panu, że najlepiej lubię Lenartowicza. Innych wielkich czczę, choć nie zawsze rozumiem, ale się ich boję, nieśmiała jestem w obec wielkich ludzi.

Dzień w Zawadówce, kończył się wspólną z czeladzią wieczerzą. Karol pierwszy raz ujrzał się przy jednym stole z wiejskim ludem z podziwem radosnym, widział tu w najnaturalniejszy sposób, urzeczywistnioną łączność towarzyską ludzi nierównych umysłowo, zrównanych wspólnością życia. Stosunek taki dziwnie uszlachetnił grubą i niesforną czeladź. Mimo swobody panującej w zachowaniu się, nic tu nie raziło estetycznego zmysłu Karola. Prostota, mimo braku wszelkiego przymusu była czemś ujmującem, posiedzenie przedstawiało istotny stosunek ludzi wyższych z niższymi bez przymusu dla jednych ani upokorzenia drugich. Szacunek wzajemny zbliżał ich do siebie i podnosił.

Karol po wieczerzy serdecznie uścisnął rękę siedzącego obok siebie parobka, i przepędziwszy jeszcze godzinkę na rozmowie z „chłopską rodziną" wśród pięknego wieczoru, udał się na spoczynek z Janem do stodoły na siano, z takim błogim nastrojem duszy, iż długo jeszcze zapewne dzieliłby się z przyjacielem myślami i uczuciami swemi, gdyby trud całodzienny i wrażenia tak świeże jak zapach siana, na którem spoczywał, niesklejły mu powiek.

Trzy dni zbiegło bohaterowi naszemu w Zawadówce jak jedna chwila. Przez cały ten czas nie pomyślał nawet o dawniejszym swym świecie, w upojeniu nie zwracał baczniejszej uwagi na zachowanie się Jana, które kiedyindziej wiele daćby mu mogło do myślenia. Jan dalekim był od ptasiej swobody ogarniającej jego przyjaciela. Silił się na nią, lecz trudno mu było przy właściwej sobie szczerości ukrywać jakąś myśl gorzką, pod pozorem ożywienia i beztroski. Karol mniej się nim obecnie zajmował, nic więc dziwnego, że zmiany nie dostrzegł. Uwidoczniła się ona dla niego dopiero na trzeci dzień wieczorem.

Dzień to był świąteczny, kilka obcych osób z sąsiedztwa powiększało grono domowe i podsycało wesołość. Wieczór po rozejściu się gości, Jan dłużej zajęty był z ojcem gospodarskim obrządkiem, a skończywszy zajęcia, przez chwilę musiał szukać Skarzyckiego. Spostrzegł go w ogrodzie, pod oknem siostry. Halka oparłszy głowę na dłoni siedziała w otwartem oknie wraz z Franią, Karol obok nich stał zdjąwszy kapelusz. Rozmawiali głośno. Dźwięczny czysty głos Helenki mieszał się z porywającym głosem młodzieńca, powstrzymywanym niekiedy — i łagodzonym uśmiechem serdecznym. Zajęci byli sobą tak że nie spostrzegli zbliżenia się Jana.

— O! pani tego nie może pojmować, jakie to jest szczęście dla człowieka pozbawionego rodzinnych skarbów, posiąść wspomnienie takie co jak gwiazda będzie mu odtąd przyświecać w wędrówce życia.

— Dla czegóż bym nie miała pojmować? ze szczerotą przerwała Helenka.

— Dla czego? O! pani zbyt jest szczęśliwą, panią otacza świat taki że z niego prosta już droga do nieba. Jej ani gwiazd przewodnich, a ni walk z sobą i ze światem nie trzeba.

— Niechże pan tak nie mówi, wychwala mię pan i gani razem, robi mię pan jakąś szczęśliwą egoistką, która ani współczuć nie umie, ani nie potrzebuje się doskonalić. I lepszą i gorszą pan mnie wyobraża sobie!

— Gorszą,

— A gorszą, bo pan myśli że nie czuję i nie rozumiem. — Jestem ja gorszą rzeczywiście niż się przedstawiam panu. Jutro dam panu przeczytać listy brata z których... ale otóż i Janek! Powiedzże, czy dobrze robi p. Karol wmawiając we mie doskonałość!

— Bardzo źle. Że tak nie jest, oto zaraz dowód. Halka bawi się rozmową zamiast wyręczyć mamę...

— Ach! To pan Karol winien! Biegnę. Dobranoc panu. Widzi pan nie dość że złą córką jestem, jeszcze zwalam winę na innych. Dobranoc.

Przykro dotkniętym uczuł się Karol, tą pedantyczną powagą przyjaciela. Uczuł się skrępowanym jego obecnością i próżno usiłował zagadać nieprzyjemność tego spotkania.

Milcząc szli obok siebie czas jakiś. Milcząc wyszli z ogrodu i kroczyli zwolna dróżką ciągnącą się wzdłuż sadzawki.

Karol pierwszy podniósł głos z wezbranem uczuciem.

— Ty masz coś przeciw mnie. Ty źle patrzysz na moję rozmowę z twoją siostrą, fałszywie pojmujesz moje zachowanie się. Ja nie ścierpię podejrzeń z twej strony, podejrzeń na które nie zasługuję, dokończył z wybuchem, chwytając go za rękę.

Jan zdawał się być na to przygotowanym, uspokoił kolegę życzliwym uściskiem, i rzekł głosem łagodnym lecz stanowczym:

— Jeżeli jesteś moim przyjacielem, staraj się jak najmniej myśleć o Helenie, a jeszcze mniej okazywać że o niej myślisz. Proszę cię o to na wszystko i wymagam tego po twoim sumieniu.

— Ty mnie chyba nie rozumiesz, wyrzekł Karol, zniżonym już do błagania głosem, ty nie możesz, nie powinieneś żądać tego odemnie.

— Pomyśl trzeźwiej, mój drogi, ciągnął Jan zwolna. Czy mogę kochając cię nawet jak brata, poświęcić dla ciebie to dobre dziecko, siostrę moję? Pomyśl czy ci wolno w przyszłości zapożyczać dług tak wielki? Pomyśl— stajesz tu jako żywioł wprost przeciwny kierunkowi jej umysłu, jej życia, jej przyszłości. Swoją osobą jestem gotów dla ciebie wszystko, wszystko uczynić co jest w mojej mocy, ale tu! Ty się nie targniesz na zaporę stanowczą, konieczną.

— Ja ją kocham, głuchym głosem wyrzekł Karol.

— Zdaje ci się. Zapomnisz, powinieneś zapomnieć.

— Ty mi nie wierzysz, nie! zawołał w uniesieniu.

— Dałżeś dowody?

— Pocóżeś mię tu przywiódł?

— Stało się — ze szczerym żalem w głosie wyrzekł młody Zawada. Zrobiłem błąd mimo najlepszej chęci. Uznaj ty mój błąd, a raczej nie czyń go błędem. Karolu, gotów jestem błagać cię, jak o łaskę największą: staraj się zapomnieć! Moja miłość wynagrodzi ci tę stratę, ale jej nie pociągaj ku sobie. Sumienie i całą swą wolę zawezwij do pomocy, aby to dziecię nie zachowało innego wspomnienia po tobie nad prostą życzliwość chwilowo spotykających się w życiu młodych ludzi. Chciej mię zrozumieć Karolu!

— O rozumiem, z goryczą odparł, siadajac na ziemi złamany i przygnębiony. Podparł głowę na dłoniach i przez łzy patrzał chwilę nieruchomo na wodę odbijającą w sobie niebo pogodnej nocy i wązki brzeg księżyca.

— Wszędzie odpychają mię, odtrącają wszędzie, każą być samym, a czemuż nie nauczyli być sobą.

— Bądźże silnym Karolu, co za skargi dziecinne, nie jesteś sam i nie będziesz sobą. Jakże chcesz — bez walki? odezwał się Jan siadając obok niego.

Karol milczał, wstydził się mówić, bo łzy miał w głosie.

— Bądź człowiekiem prawdziwym, czyń się silnym, przed tobą cały świat — wszystko w twych rękach będzie, gdy obejmiesz panowanie nad sobą, gdy staniesz się dzielnym i wolnym. Znów zamilkł na chwilę. — Sam, nie jesteś, ciągnął z uczuciem w głosie, ja pragnę być z tobą zawsze, pragnę twą każdą dobrą chęć wzmacniać, pomagać ci całą siłą, ja ciebie mam za brata. Nie miej ty do mnie urazy — chciej wejrzeć w moje serce...

Karol z pociechą spojrzał na przyjaciela, uścisnął jego rękę w milczeniu.

— Pozwól mi kochać ją tak jak ją ty kochasz — jeszcze święciej — bo zdala. Niech ona nie wie o tem. Jutro wyjadę — nie będę jej widywać ani pytać o nią — niech zostanie taka jaką ją tu widziałem, w mojem sercu na zawsze... Ona o tem niech nie wie..

Oszczędność czasu potrzebnego na studya naukowe była dostateczną dla Karol wymówką od szczerych zaprosin całej rodzyny Zawadów (z wyjątkiem Jana), pragnących go dłużej u siebie zatrzymać. Helenka z całą dziecinną naiwnością wyrzucała bratu że nie stara się zatrzymać kolegi jeszcze choćby na dni parę, wyznawała otwarcie Skarzyckiemu że jej bardzo przykro z nim się żegnać.

— Pan nas będzie odwiedzał, pan o nas nie zapomni przecież, mówiła, ani domyślając się jak cudną melodyją są jej słowa dla młodego chłopca, jaką wagę mają dla niego te proste słowa.

Co on czuł, co myślał, co postanawiał — tego nie poddałby pod kontrolę przyjaciela. Korzystając z chwilki sposobnej, wsunął w dopiero co czytaną wspólnie z Heleną książkę małą kartkę wydartą ze swej notatkowej książeczki. Na niej ołówkiem skreślone były słowa: „Kocham ciebie pani i będę kochać zawsze, zawsze! ale błagam cię nie mów tego nikomu.

Przy pożegnaniu znalazł chwilę, w której szepnął zdziwionej jego wyrazem twarzy dziewczynie.

— Niech pani czyta dalej książkę którąśmy zaczęli.

VII.

Minęło kilka miesięcy. Znajdujemy naszego bohatera w Sękowickim dworze.

Pokoik ten sam w którym widzieliśmy go przed parą laty, nieład tylko i brak szkolnych utensyliów, każe się domyślać że to mieszkanie nie jest już wychowawczym przybytkiem. Późną godziną zimowej nocy — przy świetle żarzącego się na kominku drzewa, widzimy, Karola w postawie ponurej zadumy. Nieruchomo wpatruje się w ogień lub przebiega pokoik. Wydawał się być więźniem to miotającym się w sobie, to upadającym bezsilnie, by się znów zbudzić do nowej bezskutecznej walki. Chwilami na twarzy jego osiadał wyraz pogardliwego uśmiechu, którym mierzyć się zdawał świat cały. Niekiedy brał ze stołu jedną z licznych kartek różnych formatem i kolorem, kartek zapisanych drobnem kobiecem pismem. Dorzucał drzewa do ogniska i odczytywał którykolwiek z tych dokumentów. Wtedy ożywienie, rzewność lub uśmiech mieniły się na twarzy i w oczach Karola. Porzucił postawę moralnego znurzenia, zapalił świecę i zaczął kreślić jakieś słowa na papierze. Słowa musiały nieodpowiadać uczuciom,—spalił wpół rozpoczęty list i znów zamyślił się nieruchomo. Ciężar jakiś gniótł go, niepokój owładał na nowo. Oczy jego padły na stary rękopism wyglądający z teczki zawierającej owe zagadkowe różnobarwne kartki. Przysunął go ku sobie, zaczął czytać z półuśmiechem towarzyszącym zwykle przypomnieniom dzieciństwa. Na wstępie był napis „Dziennik dla Jana.“

Po chwili rozczytywania się w tych notatkach, powziąwszy jakieś postanowienie, Karol przysunął się do stołu i wziąwszy pióro w rękę zaczął od początku robić dopiski na boku stronnic, lub ukośnie przez wiersze, z najlepszą wiarą pisane dawniej, a czynił to z pewnem zadowoleniem złowrogiem.

Do tytułu dołączył zaraz słowa: „mędrca chcącego dobry interes zrobić na głupcu.“

Wzdłuż pierwszej stronnicy ukazał się potem napis: „Dzieciaku biedny, koniecznie chcesz w cóś wierzyć!“

Na drugiej zaraz stronnicy pod datą 23 lipca czytamy w dzienniczku:

„Jan już nie może czytać prawdy we mnie. Boli mię ta myśl że przed nim kłamać będę musiał, ale w głębi sumienia jestem spokojny. On nie ma prawa kłaść veto na moje uczucia, wyrywać mi mój skarb najświętszy. Pojmuję jego *obawy*, wierzę nawet w ich *słuszność*— ale mimo jego wiedzy, dowiodę mu że się mylił brakiem ufności we mnie i w moje siły. Wyznam mu tajemnicę moję gdy stanę się godnym Heleny i będę mógł szczęście jej zapewnić.“ W ustępie tym Karol z ironią podkreślił wyrazy „obawy“ „słuszność“ i czytał dalej.

Pozwalamy sobie powtórzyć kilka urywków z tego dziennika, które wyręczą nas w opisywaniu dotychczasowych dziejów Skarzyckiego. Dziennik im dalej, pisany był coraz mniej systematycznie, bez dat, i tylko coraz odmienne pismo wskazywało późniejszy czas dorywczego pisania.

„Helenka, śliczna Helenka, towarzyszy każdej mojej myśli, każdej pracy,“ (słowa dziennika). „Gdy pracuję usilnie, zdaje mi się że ją widzę koło mego stolika poważną, myślącą, otacza mię uroczy duch Zawadówki. Gdy marzę nie śmiem żadną myślą nieczystą skalać jej obrazu, ona uśmiecha się do mnie tak serdecznie, z taką miłością niewinną i szczerą..... Dręczy mię jednak niepewność — a nuż ona wyznała wszystko rodzicom i bratu z otwartością aniołka, skrytość poczytującego za grzech ciężki? A może ona nie pojmuje innej miłości nad bratnią przyjaźń? Jak ja oczy pokażę Janowi! Jak wytłomaczę prawość mych uczuć i myśli, w bezprawiu którego się w obec nich dopuściłem.....

..... „Spotkanie—bądź co bądź oryginalne. Nie wiem jeszcze dobrze co o niem sądzić, ale uśmiecha mi się powabna perspektywa. P. Taunitz bywa choć rzadko u stryjenki. Unikałem jej dotąd—bo ja wiem czemu? — Dzieciństwo i koniec.—Kochać jej przecie nie myślę, mimo to jednak p. kapitanowa jest arcy powabną kobietą. Trapistą trzebaby być aby jej tego nie przyznać, lub brać to za złe. Dziś wieczór skłoniono mię odprowadzić ją do domu. Znalazłszy się z nią sam na ulicy pustej, ze wstydem przyznaję, zły byłem że mam język w ustach bom go użyć nie umiał w żaden sposób. P. kapitanowa dostrzegłszy mój ambaras parsknęła dziwacznym śmiechem.

— Ciekawam coś pan sobie dotąd myślał o mnie i coś swoim kolegom o mnie nawygadywał?

— Dzieciaku poczciwy! Zamiast gromić przemilczałam i przebaczyłam ci zapomnienie.....

— Ja nie wiedziałem jak panią przeprosić za moje zuchwalstwo... Przysięgam, nikomu o tem nie wspomniałem!

— Nie gniewam się już, a na dowód tego—

zatrzymała się chwilkę z uśmiechem zachwycającym, na dowód tego—nic a nic nie mówiłam stryjence.

— Przebaczmy sobie nawzajem i niech już o tem nigdy mowy nie będzie, dodała po chwili. *Adieu*! zawołała żywo, zręcznie wstępując na wschodki wiodące do jej mieszkania....

..... „A jednak ona moją być musi, *musi!* Czekałem na nią dziś całe dwie godziny na wietrze i słocie, wiedząc skąd zawsze wraca wieczorem. Na moje gorące słowa (udane rozumie się)—odpowiedziała zdziwieniem, nauką moralną jak smarkaczowi. O ja dopnę swego, choćby dla upokorzenia jej! Te oczy jej, ten wdzięk jakiś szatański. Ha! — Okazałem się po prostu głupcem — ale powetuję moję niezręczność.

„O! powetuję! Niech wierzy że ją kocham! rzeczywiście jakże nizkie jest to uczucie, które dla niej czuję. Heleno! ty nie patrz na mnie z nieba ideału, tyś zbyt święta, zbyt czysta, aby cię tu nawet wspominać, tyś jak bóstwo w świątyni, oddzielona świętą zasłoną od pospolitego motłochu“.....

..... „Jan powrócił. Jan nie wie o niczem. Zacny, poczciwy, taki sam jak od początku. Wstyd mi przed nim mych szaleństw. Nigdybym nie śmiał mówić mu o nich, on tego by nie pojął: jak może być tak szerokim zakres życia iż gdy najwyższa część jego zatopiona jest w najczystszem uczuciu, przeciwna wgrze namiętności dzikiej, a środek życiowy skali zapełnia, przyjaźń, rozumna umysłowa praca i szlachetne, rozsądne dążenia. Cóż bym dał za to gdyby go można wypytać o Helenkę!.... Widocznie nie zwierzyła się nawet przed najukochańszym bratem—więc kocha“.....

..... „Powracam od niej, od Leokadyi. Minęło wiele dni niezostawiwszy po sobie śladu. Ileżby pisać trzeba o tem, co człowiek zdolny odczuć i przeżyć w jednej godzinie, nie dopiero przez tak długi czas i w tak wyjątkowych stosunkach. Dziś spadł mi kamień z serca. Wszedłszy do mieszkania Jana, znajduję na jego biurku tomik poezyj, pamiętny tomik, który z Heleną czytałem. Porywam go, przerzucam i znajduję ową fatalną kartkę nieruszoną z miejsca w które ją włożyłem. Co za szczęście“.....

..... „Z nieznacznego ziarna pyszny kwiat wyrasta. Jakże mi wstyd, jak mię bolą te dawne bluźniercze słowa o Leokadyi, ta myśl pełna obelgi krwawej, w której w tak nikczemny sposób zestawiałem tamto poczciwe dziecko, z tą kobietą, którą dziś dopiero umiem cenić! Ujrzałem się w obec niej tak nizkim, że żadne uwielbienie nie zdoła zmazać wyrzutów sumienia moich, za krzywdy które mimo wiedzy zadawałem jej, dopełniając niemi jej kielich cierpień całego życia.—Są ludzie prawdziwie wyżsi śród świata, ale nie są to ludzie dumni swą martwotą, zakuci w zimną zbroję rozsądku i widoków obliczonych na wygodę własną, na panowanie innym. Są to ludzie nagą piersią roztrącający się o bezduszny porządek rzeczy ludzkich, ludzie którym urąga świat.....

„A ja bezrozumy śmiałem zbliżać się do niej z myślą tak brudną. Że nie była jako owe cnoty szychowe, jak owe kobiety o płytkiem, pustem sercu, dla których pozory życia są życiem—więc wraz z tłumem bezmyślnym gotów byłem rzucić na nią kamień wzgardy. — Przebacz mi!

„Jan jej nigdy nie pojmie, jego mądrość jest ołowiem który mu wznieść się do tego nie pozwoli. Chcąc ją pojąć trzeba ją mierzyć miarą wyższą nad gruby rozsądek, a poznawszy — trzeba ukochać.

Dozwoliła mi przychodzić do swego mieszkania, w swem miluchnem gniazdku przepędzać parę godzin od czasu do czasu, gdy pracuje w towarzystwie staruszki. Przysiądz jej prawie wpierw musiałem, że o miłości nigdy nie wspomnę.

— Wyleczysz się z tego szału, mówiła mi gdy mię poznasz bliżej, będę ci starszą siostrą—jak siostra tylko mogę cię kochać. Biedna, co ona przecierpiała w życiu, ona, tyle godna szczęścia! Święte godziny zwierzeń, uśmiechów przez łzy, tych wyznań pełnych smutnego doświadczenia duszy czystej, a pojonej brudem i goryczą świata! Ona w swej ciernistej wędrówce życia, nie znalazła nigdy człowieka.— Jestem że nim?... Czyliż ją mało kocham?...

Już jej tego wyznawać nie śmiałem, a czułem coraz dotkliwiej ciężar takiego stosunku. „Ona mię nie kocha,“ mówiło mi jej matczyne prawie postępowanie ze mną; ona mię nie może tak gorąco kochać! Czasem znów jakieś przeczucia kazały mi się spodziewać—podsycały we mnie namiętność wraz z czcią posuniętą do ubóstwiania. Dręczyłem się szalenie przypuszczając że ona kocha kogoś — może jakie wspomnienie, że ona mojej miłości niechce znać.— nie widzi.

Kilka dni temu uzbroiłem się w odwagę. Byliśmy sami gdym ją żegnał mając odejść. Nucąc smutną piosenkę nie podnosiła oczu od roboty.

— Pani, jęknąłem ja już tu więcej nie przyjdę.

— Co panu jest! pan taki blady, taki dziwny.

— Nie mogłem mówić ze wzruszenia, schwyciłem jej rękę! Kochaj mię pani choć trochę! Ja chyba żyć nie będę jeżeli.....

Leokadya milcząc pozwalała mi okrywać pocałunkami swą rękę bezwładną. To ośmieliło mię podnieść na nią oczy. Pobladła, oczy nieruchomo patrzały na mnie, usta uchylone, pierś falowała szybkim oddechem.

— Karolu rzekła schwyciwszy moje ręce, i ciśnąc je silnie w swoich. Kiedy już do tego przyszło czegom się bała—słuchaj i ja ciebie kocham — ja cobym ci matką być mogła. Ja cię kocham od dawna. Czemużem nieszczęsna pozwoliła ci tu przychodzić.

Bez pamięci, z szaleństwem uniesienia oswobodziłem ręce aby ją uścisnąć gwałtownie.

— Karolu wyjdę i nie zobaczysz mię więcej. Puść mię! zawołała z siłą.

Zsunąłem się na kolana kryjąc twaz w dłoniach.

— Usiądź tu przy mnie— uspokój się. Widzisz i ja panuję nad sobą. Daj tu ręce przyjacielu, pomówmy otwarcie.

— Tyś młody, w świat ci dopiero—ja biedna kobieta na schyłku jesieni. Ja ci świata zawiązywać nie mogę, choć z boleścią musimy się rozstać.—Idź swoją drogą. Ja przeboleję—ty zapomnisz.....

— Leokadyo, wołałem, jeśli masz litość, zmiłuj się nie mów tego, Pani będziesz moją! Ja chcę ci służyć, całe życie pragnę dla ciebie poświęcić, wszystkie cierpienia twoje zamienić w szczęście. Chceszże abym zginął bez ciebie? Chyba masz mię pani za niegodnego swego serca i ręki, nie wierzysz mi—pogardzasz....Pani najdroższa moja... Ona nachyliła się ku mnie z czułością, jej oczy były pełne słodyczy i łez.

Wierzę ci szeptała — gdybym nie wierzyła w twą zacność, gdybym cię nie kochała nad życie — gdybym nie czuła że szczęście zdołam ci zapewnić, bo ono jest już jedynem pragnieniem mego serca. — łatwiej by mi było—rozerwać węzy uczucia..... Tyś mój na zawsze—za moję miłość szczerą Bóg mię nie potępi..,..

Był to jej pierwszy pocałunek, pierwszy wybuch namiętności—nad którą tak umie panować. Kochająca kobieta i królowa zarazem—zdaje się być aniołem zniżającym się do śmiertelników aby żyć ich sercem, nie tracąc nic na swej godności. (d. c. n.).

JÓZEF HAYDN.

ŻYCIORYS I CHARAKTERYSTYKA.

napisał

Dr. HENRYK DÖRING.

przełożył z niemieckiego

H. B.

(Dalszy ciąg.)

IX.

Dnia 15-go sierpnia 1795 r., Haydn opuścił Londyn, i w pięć dni potem już był w Wiedniu. Wybrał on tym razem umyślnie drogę na Hamburg, aby osobiście poznać Filipa Emanuela Bacha: ale nie zastał go już pomiędzy żyjącymi. W Dreznie Haydn wstąpił w tymże samym celu do kapelmistrza Naumana. Ponieważ go nie było w mieście, kazał się zaprowadzić do jego mieszkania, by choć potret jego zobaczyć.

Przez swój dłuższy pobyt w Anglii, Haydn jak sam to przyznawał, właściwie dopiero stał się sławnym. Dwór cesarski odtąd nierównie większą uwagę zaczął na niego zwracać niż przedtem—Józef II dopiero w swych podróżach za granicą się o tem dowiedział jaki posiada skarb w swojem państwie. Ale teraz Haydn był już zabezpieczony pod względem materyalnym. Oszczędności zrobione w Anglii powodowały, że mógł spokojnie patrzeć w przyszłość. Kupił też sobie na przedmieściu Wiednia, zwanem Gumpendorf w bliskości Mariahilf, linii na ulicy dolnej kamiennej (Untere Steinstrasse), dom Nr. 73 z przylegającym doń ogrodem i zamienił to ustronie na świątynię harmonii. Tu odwiedzali go jego liczni przyjaciele; do tego miejsca i po jego śmierci wielbiciele Haydna, częste odbywali pielgrzymki, gdyż tu powstały dwa arcydzieła: *Stworzenie* i *Pory roku*, które są koroną jego chwały,

i przez które właściwie zapewnił sobie nieśmiertelność w dziedzinie muzyki.

Ta okoliczność, że Haydn będący wtenczas już starcem mógł napisać dzieło tak doskonałe i z takiem wykończeniem jak *Stworzenie*, wywołała wielkie podziwienie. Pierwszą myśl tego Oratorium powziął był Anglik Lindley, ale tenże niedługo po napisaniu tekstu umarł. Tekst ten, był kompilacyą z „Raju utraconego" Miltona, Haendel żył wtenczas jeszcze: ale po śmierci tegoż (13 kwietnia 1759 r.), nikt nie ważył się przystąpić do skomponowania muzyki, gdyż powszechnem było mniemanie, że tylko twórca „Messyasza" stał na wysokości takiego zadania.

Następcą Haendla co do sławy był Haydn, i rzeczywiście p. Salomon wręczył temu ostatniemu angielski tekst *Stworzenia*. Haydn w początku nie chciał podjąć się tak trudnej pracy i wymawiał się brakiem znajomości angielskiega języka; ale wracając do Wiednia zabrał z sobą rękopis, i obiecał dać znać o swojem postanowieniu. Dopiero jednak w r. 1797 przez pomyślny zbieg okoliczności, plan został urzeczywistnionym.

Rzecz tak się miała. Baron van Swieten († 1808 r.), bibliotekarz cesarski, znany miłośnik muzyki, po kilkakrotnie już prosił był Haydna, aby chciał zająć się skomponowaniem Oratorium. Jemu to Haydn wręczył ów z Anglii przywieziony tekst (The Creation), i van Swieten dokonał z niektóremi zmianami przekładu na język niemiecki, a nadto wyjednał dla autora, który skomponuje odpowiednią muzykę, honoraryum w ilości 500 dukatów.

Haydn z zapałem wziął się do pracy. „Gdym już był w połowie, opowiadał potem — spostrzegłem, że mi się udało. Nigdy nie byłem tyle nabożnym jak wtenczas kiedym pisał *Stworzenie*. Jeżeli czasami nie byłem usposobionym do komponowania, chwytałem za różaniec, przechadzałem się po pokoju, odmówiłem kilka *Zdrowaś Marya*, i zaraz szło lepiej. Codziennie modliłem się, aby łaskawy Stwórca udzielił mi siły, do szczęśliwego ukończenia rozpoczętego dzieła.

Haydn nie był bigotem i podobne wyrażenia płynęły u niego z przekonania. Wierzył on szczerze w to, że losy ludzkie i wszystko cokolwiek robimy, znajduje się pod bezpośrednim kierownictwem Boga, który wynagradza cnotę i karze występek. Wszelki talent zatem jest także darem Boga. Z tego źródła płynęła rzeczywista skromność jaką Haydn tak wybitnie wyróżnia się pomiędzy mistrzami sztuki. Dobry chrześcianin stał u niego wyżej od artysty. Jeden z współczesnych pisarzy tak się w tym względzie co do Haydna wyraża: „Przeświadczenie o tem, że sumiennie wykonywał swe obowiązki jako chrześcianin względem Boga, a jako artysta względem społeczeństwa, zapewne bardzo wiele się przyczyniało do utrzymania w nim wesołego usposobienia, okazującego się zarówno w obejściu z ludźmi, jak też w jego kompozycyach. Szczególnie w Allegrach i Rondach, Haydn zdaje się jakby umyślnie wszystkie swe siły skupiać ku temu, aby przez zręczne zwroty, przerzucając się z napozór bardzo poważnego nastroju do najwyższego komizmu, drażnić mile słuchacza i zbudzić w nim poczucie nawet swawolnej wesołości."

W kwietniu 1798 r. *Stworzenie* (die Schoepfung) było skończonem. Z największą niecierpliwością czekano na usłyszenie tego znakomitego dzieła. Kilka osób z wyższej szlachty Wiednia zajęło się przygotowaniami do wystawy; oni też ponieśli wszelkie koszta, a nadto Haydn otrzymał za partyturę 700 dukatów. Stu trzydziestu artystów (śpiewaków i grających na instrumentach) wzięło udział w pierwszem wykonaniu tego Oratorium w dniu 19 marca 1799 roku. Muzykalna ta uroczystość odbyła się w pałacu księcia Schwarzenberga pod osobistą dyrekcyą Haydna. Wspaniałomyślni przedsiębiercy dali cały dochód, wynoszący 4,088 złr. kompozytorowi.

Zapał z jakim *Stworzenie* zostało przyjętem, był niesłychany. Słuchacze byli głęboko wzruszeni, Haydn sam oświadczył, że niezdolnym jest do określenia uczuć jakiemi był przejęty gdy widział, że wykonanie jego dzieła idzie świetnie i jak wzruszona publiczność w uroczem milczeniu słucha by nie opuścić ani jednego tonu. „Robiło mi się, opowiadał on, to ciepło, to zimno, tak iż nawet obawiałem się uderzenia apoplektycznego."

Po raz drugi „*Stworzenie*" danem było w grudniu 1799 roku, w Narodowym teatrze w Wiedniu. Dochód z tego przedstawienia, wynoszący 5,000 złr., wpłynął do kasy wsparcia wdów po artystach muzycznych.

Wkrótce potem, gdy partytura została wydrukowaną, *Stworzenie* dawanem było i za granicą. Szczególnie w Londynie i w Dublinie doznało ono świetnego przyjęcia. Anglicy wezwali Haydna aby znowu przybył do nich, przy czem stawiali mu najkorzystniejsze warunki, ale tenże, z powodu podeszłego wieku i nadwątlonego zdrowia, nie mógł zadosyć uczynić ich życzeniom.

W Paryżu *Stworzenie* danem było dnia 24 grudnia 1800 r. w teatrze Opery, przy współudziale 250 artystów.

Na pamiątkę tej uroczystości wybity został medal złoty (wartości 42 dukatów), na jednej stronie którego umieszczono portret Haydna, na drugiej zaś lirę z wieńcem gwiazd u góry. Medal ten doręczony został sędziwemu mistrzowi przez posła austryackiego w Paryżu, hrabiego Coblenz.

Podobnegoż powodzenia doznało *Stworzenie* w Berlinie, Pradze, Stokholmie, Kopenhadze, Amsterdamie i w innych większych miastach Europy.

W Petersburgu danem było w włoskiem tłómaczeniu.

Wielką rozkosz sprawiało Haydnowi, gdy go dochodziła wiadomość o znacznych sumach, które wpływały z tej okazyi dla biednych; zazwyczaj bowiem wystawienie tego Oratorium połączone bywało z celem dobroczynnym. Łzy wdzięczności wdów i sierot miały dla Haydna większą wartość, niż godności i zaszczyty jakiemi tak hojnie był obsypanym.

Poeci wynosili sławę Haydna pod niebiosy. W lipskiej „Muzykalnej gazecie" z r. 1807 wydrukowaną została pochlebna recenzya *Stworenia*. Autorem jej był Zelter, jeden z najgorętszych wielbicieli Haydna.

X.

W r. 1799 Haydn rozpoczął komponowanie *Pór roku* (Die Jahres-zeiten). Tekst napisany był po angielsku przez Thomsona, a przekładem na język niemiecki zajął się także van Swieten. Z powodu tego tłómaczenia obadwaj przyjaciele (Haydn i van Swieten) często wiedli spory a nawet, o mało, na dobre się nie pogniewali. Przy tłómaczeniu, van Swieten dopuścił się był wielu zmian, które nie podobały się Haydnowi; nadto raziło go w tłómaczeniu, widoczne silenie się na zbyt malownicze obrazy i naśladowanie niektórych dźwięków natury, np. skrzeczenia żab. O takie rzeczy często się z sobą sprzeczali. W listach swoich do van Swietena pisanych, Haydn mocno uskarżał się na trudności jakich doznaje gdy mu przychodzi tworzyć muzykę do takich wyrażeń jak *Heisasa! Hopsasa!* Niech żyje wino i *beczka, w której ono się przechowuje!* Niech żyje *dzban*, z którego ono płynie i t. p. Van Swieten ze swej strony znów robił niektóre zarzuty co do muzyki, mianowicie żądał zrobienia kilku zmian większych, na co znów Haydn zgodzić się nie chciał. Obrażony tem van Swieten, przestał odwiedzać Haydna. Gdy tak upłynęło dni dwanaście, Haydn nie mógł wytrzymać i poszedł odwiedzić przyjaciela. Ale ten kazał mu czekać w przedpokoju przeszło godzinę, i już Haydn chciał odejść, gdy lokaj go wrócił. Nie bez goryczy rzekł tedy Haydn wchodząc do pokoju: „Dobrze żeś mnie pan jeszcze kazał zawołać, inaczej noga moja nie byłaby już nigdy przestąpiła jego progu!"

W liście pisanym pod dniem 23-m września 1799 roku do E. L. Gebera, wydawcy *Słownika muzyków*, Haydn tak się wyraża o swoich *Porach roku:* „Ponieważ przedmiot w *Porach roku* nie jest tak podniosłym jak w *Stworzeniu*, wybitnie też występuje różnica, gdy oba te teksty z sobą porównywam. Ale postaram się przy pomocy Boskiej uczynić wszystko, co jest w moich siłach."

Udało mu się też w zupełności. Umiał on nawet ustępom najprozaiczniejszym nadać pewne barwy poetyczne, i uratować tym sposobem całość od szwanku.

W kilka lat potem, Haydn mówiąc o *Porach roku* dodał: „W końcu, zmęczony ciągłą jednostajnością *naśladowań i czczych wykrzykników*, postanowiłem w ostatniej fudze przedstawić *pijaństwo*. Byłem oszałamoniony wszystkiemi temi głupstwami tak, że w zupełności puściłem wodze fantazyi. Dla tego też tej ostatniej fudze nadałem miano *pijanej*."

Dnia 24-go kwietnia 1801 roku, *Pory roku* dane były po raz pierwszy w Wiedniu, w sali pałacu księcia Schwarzenberga. Zdania publiczności były podzielone. Jedni mówili: że utwór ten przewyższa *Stworzenie*, inni, że stoi z niem na jednej linii. Inni znowu inaczej mówili. Znawcy muzyki, byli w zachwyceniu. Gdy cesarz Franciszek zapytał Haydna, któremu z tych dwóch dzieł przyznaje wyższość? tenże dał następującą charakterystyczną odpowiedź: „W *Stworzeniu* przemawiają aniołowie i głoszą chwałę Boga; a w *Porach roku* mówi tylko Szymon."

Partytura *Pór roku* wydrukowaną została w Lipsku, nakładem księgarni Breitkopfa i Haertla, i firma ta wypłaciła Haydnowi honorarym w ilości 1,000 dukatów.

XI.

Wielkie wysilenia ostatnich czasów wywarły zły wpływ na zdrowie Haydna. Ciągły ból głowy był mu głównie przeszkodą w pracy. „Muszę koniecznie mieć jakie zajęcie“ mawiał on do jednego ze swoich przyjaciół, prześladują mnie bez ustanku muzykalne myśli, i żadną miarą pozbyć ich się nie mogę. Jeżeli mi w uszach brzmi jakie allegro, puls mój uderza prędzej i zasnąć nie mogę, jeżeli jakie adagio czuję, że puls wolniej bije. Zaprawdę jestem żyjącym fortepianem. Od kilku dni ciągle słyszę starą pieśń z E-minor: „O Panie jakże cię miłuję z całego serca,“ którą często grywałem w młodszych latach. W którą bądź zwrócę się stronę, wszędzie ona mnie prześladuje.“

Stan ten trwał przez czas dłuższy.

Ciężarem było dla niego współczucie jakie mu okazywali liczni jego wielbiciele i znajomi. Przyjmował on już tylko małą liczbę wybranych.

W roku 1805, p. Bertuch, radca poselstwa, w Weimarze, który czasowo bawił w Wiedniu, został przez jednego z synów Mozarta wprowadzonym do Haydna, i tak opisuje swą wizytę: „Starzy słudzy pielęgnują teraz Haydna, gdyż tenże już od 1800 roku jest wdowcem. Cisza z jaką oni się zachowywali, świadczyła o poszanowaniu jakiem otaczają swego cierpiącego pana. Milczenie i porządek panowały wszędzie; tylko papuga, którą Haydn przywiózł z sobą z Anglii, gaworzyła sobie bez ceremonii. Weszliśmy na piętro gdzie nas przeprowadzono przez kilka pokoi i dopiero w ostatnim, stykającym się z otwartym alkierzem, na ścianach którego zamiast obrazów, porozwieszanych było wiele kanonów w ramach pod szkłem, zastaliśmy Haydna. Ubrany on był skromnie ale starannie i miał na sobie surdut bronzowego koloru. Zostaliśmy przyjęci z serdecznością i tą szczerą otwartością jaka cechuje Austryaków. Sędziwy mistrz bardzo się cieszył na widok Mozarta, którego dawno już nie oglądał; mówił z nim wiele o jego muzykalnem wykształceniu i z wzruszeniem wspominał pamięć jego ojca, z którym, jak mówił, widywał się w dawnych czasach prawie codziennie, i z którym zawsze pozostawał w jak największej harmonii.“

Przy innej wizycie, w dniu 20-tym grudnia 1805 roku, Haydn wręczył temuż panu Bertuchowi wykaz wszystkich swoich dzieł napisanych od swego 18-go do 73 roku życia i przy tej sposobności z pewną dumą wspomniał o znacznych sumach jakie wpłynęły z samego *Stworzenia* na cele dobroczynne. „Nie w próżności dodał Haydn, wynotowałem sobie te sumy; niechaj świat wie o tem, że nie byłem bezużytecznym członkiem społeczeństwa, oraz i to, że i przez muzykę można także wyświadczyć wiele dobrego.“

Obok znacznych sum jakie Haydn otrzymywał z koncertów benefisowych i za sprzedaż partytur, nie brakło mu też i na innych oznakach uznania. O złotym medalu, przysłanym z Paryża, już było wspomnianem wyżej. Towarzystwo muzyczne w Paryżu, Stokholmie i Amsterdamie, oraz kilka akademij nauk i sztuk pięknych nadesłały mu dyplomy na członka honorowego. Filharmoniјne towarzystwo w Petersburgu wybiło na cześć jego wielki złoty medal, który mu doręczony został przez posła rossyjskiego w Wiedniu. Ale najwięcej wagi Haydn przywiązywał do otrzymanego od mieszkańców Wiednia medalu, z którym jednocześnie nadanem mu zostało prawo obywatelstwa.

Pomimo nadwątlonych sił, Haydn ciągle jeszcze komponował. Do liczby jego ostatnich utworów należy serya cztero i trzygłosowych mniejszych pieśni, za które od Cesarzowej Rossyjskiej otrzymał kosztowny pierścień. Dziesiąty z tych śpiewów nosi tytuł: *Starzec* i zaczyna się tak: „Sił już nie mam, jestem stary i słaby ..“ Te więc wyrazy kazał wylitografować pod swoim nazwiskiem na biletach wizytowych i rozsyłał takowe osobom, które dowiadywały się o stan jego zdrowia.

Ostatnią kompozycyą Haydna był ośmdziesiąty szósty kwartet (nie skończony). „To jest moje ostatnie dziecko, rzekł Haydn, oddając do druku partyturę, no ależ przecie ono jest zawsze do mnie podobne.“ Kwartet ten, stanowiło andante i menuet, które były już gotowe w roku 1803. Choroba przeszkodziła mu w napisaniu allegra, i tak zeszło do roku 1806. W końcu nakładca nie mogąc doczekać się końca, wydał kwartet, i w miejsce brakującego allegra, kazał wydrukować wyżej opisany bilet wizytowy.

W lecie 1806 roku usuniętym został z mieszkania Haydna fortepian, a to na rozkaz lekarza, który zalecił był staremu zupełną spokojność. Haydn bowiem ile razy siadał do fortepianu, dostawał silnego zawrotu głowy. W ogóle, często bywał on teraz nadzwyczajnie smutnym i najczarniejsze prześladowały go myśli. „Nigdy nie sądziłem, rzekł w dniu 3-cim września, aby człowiek do tego stopnia mógł się wycieńczyć. Straciłem zupełnie pamięć. Czasem przy fortepianie, przychodzą mi dobre myśli; ale rozpacz mnie bierze, nie jestem bowiem w możności ich utrzymania w porządku i rzucenia na papier.“

Właściwie nie cierpiał on na żadną chorobę, ale z każdym dniem coraz więcej się przekonywał, że starość sama przez się jest chorobą, i że natura domaga się praw względem jego ciała.

Jedynie spokojność, pieczołowite starania i dyeta, mogły przedłużyć dni jego żywota. Nogi mu spuchły, i stąd ruch stał się niemożliwym. Często, całe miesiące przepędzał on w jednym i tym samym pokoju. Czas schodził mu na modliwie, na wspominaniu lat dawniejszych (szczególniej lubił mówić o swoim pobycie w Anglii), na czytaniu gazet i na małych zajęciach domowych. Wieczory przepędzał na gawędach z sąsiadami i z wiernymi sługami. Czasami grywał z nimi w karty i cieszył się, jeśli im się udało wygrać.

Gdy w dniu 27-m marca 1808 r. dawano *Stworzenie*, w Wiedniu w sali uniwersyteckiej, Haydn po raz ostatni w życiu znajdował się w większem zgromadzeniu ludzi. Wniesiono go na krześle. W progu sali powitali go znakomitsi muzycy i kompozytorowie, pomiędzy którymi byli: Salieri i Beethoven. Tłok naokoło mistrza, był wielki. Damy, na czele księżna Esterhazy, wzięły starca pomiędzy siebie. Gdy jeden z obecnych lekarzy zrobił uwagę, że nogi Haydna nie są dość okryte, natychmiast damy pospieszyły z ofiarowaniem swych szali. Bezpośrednio przed rozpoczęciem, Salieri przystąpił do Haydna z odpowiednią krótką przemową i następnie stanął na czele orkiestry złożonej z 80 osób. Kreutzer był przy fortepianie. Klementi grał pierwsze skrzypce. Chóry dobrze były obsadzone; solistkami były pierwsze śpiewaczki Wiednia, panny: Fischer, Weinmüller i Radichi. *Stworzenie* poszło w całem znaczeniu tego wyrazu, znakomicie. Po owem sławnem miejscu: *Niechaj stanie się światło!* zapał publiczności był nie do opisania. Haydn wzniósł ręce w górę i rzekł z wzruszeniem: „Tak, to ztamtąd pochodzi!“ Łzy jego zaczęły silniej płynąć i czuł się za bardzo osłabionym aby pozostać dłużej. Po skończonej pierwszej części Haydn poprosił, aby mu pozwolono wrócić do domu. Pożegnanie było rozczulającem. Gdy już był przy drzwiach, jeszcze raz obrócił się ku orkiestrze, i ku niej, błogosławiąc, wyciągnął rękę.

W dniu 7-ym września 1808 roku odwiedzili Haydna: Iffland poeta i Schmidt dyrektor berlińskiego teatru. Zastali go siedzącego w fotelu, z twarzą zwróconą ku oknu. Haydn był świątecznie ubrany; w jednem ręku trzymał kapelusz, w drugiej laskę i bukiet kwiatów. Gdy Haydn spostrzegł wchodzących, z trudnością i to przy pomocy służącego podniósł się z siedzenia i z uprzejmością powitał swoich gości! Na zapytanie, dla czego jest tak świątecznie ubranym, Haydn odpowiedział:

— Odbyłem dziś swe nabożeństwo wśród natury, gdyż inaczej nie mogę... Tak też jest najlepiej! dodał, zwracając oczy ku niebu. Rozmowa tedy zwróciła się ku jego zamiłowaniu przyrody i jak świetnie ją opiewał w swych *Porach roku*.

— Tak! tak! zawołał Haydn z niezwykłą żywością. *Pory roku* dobiły mnie. Po całych dniach męczyłem się czasami nad *jednem* miejscem, a potem... nie, nie uwierzycie panowie jak się męczyłem!... No, ale to wszystko już się skończyło. Tak, tak i ze mną się kończy, a przyczyną tego są *Pory roku!* Musiałem ja w życiu wiele i ciężko pracować! Potem wspominał o swojej młodości, i w końcu dodał:

— Teraz ulegam, ale ulegam z honorem! Ciężką była praca, ale Bóg dopomógł. Dziś mi dobrze, bardzo dobrze! Ale teraz nie mogę już inaczej; jeżeli mnie coś ucieszy, zaraz muszę płakać. Usiłuję przezwyciężyć się, ale nie udaje mi się. Dawniej bywało inaczej!... Dawniej! mówiąc te słowa, zwrócił oczy ku oknu, a gdy zapuścił zwrok w niezmierzoną przestrzeń nieba, lekkie westchnienie uleciało z jego przytłumionej piersi.

Iffland opowiadał mu potem o wielkiem powodzeniu jakie miało *Stworzenie* w Berlinie, oraz, że na ubogich wpłynęło przy tej okazyi przeszło dwa tysiące talarów.

— Przeszło dwa tysiące talarów dla bie-

dnych! powtórzył Haydn powoli i przechyliwszy się przy tem na fotelu. Praca moja wyszła na dobre ubogim. To mnie cieszy! To jest wielką pociechą!

Pomilczawszy potem chwilkę, dodał z widocznym smutkiem na twarzy.

— Ale wszystko to już przeszło!... Teraz już nic nie tworzę! No, wszakże poszło dobrze? mam na myśli *Stworzenie*. Ile dostało się biednym?... Często będę się z tego cieszył!...

Rozweseliwszy się trochę, Haydn kazał przynieść służącemu, zbiór swoich pamiątek. Pomiędzy kosztownościami wyróżniała się dość wielka płaska skrzynka. Był to podarunek od księżnej Esterhazy. Kazała ona była ją zrobić podług własnego pomysłu, z drzewa hebanowego, i ozdobić złotą oprawą, oraz złotemi płaskorzeźbami. Na wierzchu był obraz przedstawiający scenę z ostatniego przedstawienia *Stworzenia* w sali uniwersyteckiej. Wewnątrz znajdował się wielki sztambuch w czarnej bogato wyzłacanej oprawie, ozdobiony cyfrą księżnej, w który zapisali się byli wszyscy członkowie rodziny Esterhazych. Po bokach skrzynki wewnątrz, umieszczone były: ozdobny kałamarz, piaseczniczka, oraz rozmaite małe podręczne narzędzia z angielskiej stali wykładanej złotem.

Potem, pokazując swym gościom wszystkie swoje medale i dyplomy, których było sporo, Haydn rzekł:

— Panowie zapewne powiecie, że to są ładne *zabawki* dla starych ludzi. Może być... ale dla mnie mają one większe trochę znaczenie... Oglądając je, liczę w tył lata mojego życia, i chwilami odmładzam się. Po mojej śmierci, wszystkie te rzeczy dostaną się w godne ręce.

I rzeczywiście, wkrótce po tych odwiedzinach, Haydn napisał rozporządzenie, mocą którego wszystkie jego pamiątki wraz z książkami, nutami, rękopisami i t. p. przejść miały na własność rodziny Esterhazych.

Gdy Iffland i Schmidt już zabierali się do wyjścia, Haydn rzekł:

— Zapewne panowie chcecie abym wam co zagrał?

I nie czekając odpowiedzi, kazał się służącemu zaprowadzić do fortepianu.

— Prawda, dodał on, że już niewiele umiem, ale poczekajcie, zagram wam kompozycyą, którą napisałem wtenczas, gdy w roku 1797 Francuzi szli na Wiedeń. Jest to pieśń: *Gott erhalte Franz den Kaiser* (Boże zachowaj cesarza Franciszka)!

Haydn zagrał ją z zadziwiającą dokładnością i z mocnem uczuciem. Gdy skończył, pozostał jeszcze trochę przy fortepiane i rzekł:

— Codzień rano gram tę pieśń, ktora mi często była pociechą w dniach smutku i utrapienia. Nie mogę inaczej, muszę ją grywać; zawsze mi się wtenczas błogo robi, i stan ten trwa jeszcze potem, gdy już ją skończyłem.

Jeszcze coś chciał powiedzieć, ale chwilowe omdlenie spowodowało, że słowa jego zamierały mu na ustach.

Po chwili jednak znów przyszedł do siebie, i pożegnanie było nader serdecznem. Iffland prosił o podarowanie mu jednego kwiatka na pamiątkę. Haydn podał mu obiema rękami cały bukiet, i czule uściskał poetę. (d. n.)

TEATR.

„Przesądy“ komedya w 5-ciu aktach, oryginalnie prozą przez Edwarda Lubowskiego napisana.

Pod powyższym tytułem grano po raz pierwszy w dniu 18 Maja na scenie naszej, komedyę p. Lubowskiego, który, przyznać trzeba, obrał sobie temat dosyć interesujący, ale za to tem trudniejszy do należytego przeprowadzenia na scenie tak, ażeby cała rzecz zbudowaną była artystycznie i równie interesująco. Jak się też p. Lubowski wywiązał z tego, — zobaczymy.

Przesąd jest to opinja o jakim przedmiocie, powzięta bez należytego zbadania tego przedmiotu, bez uzasadnienia, że tak powiemy, przyczyn postawić mogących dany przedmiot w złem lub dobrem świetle. Częstokroć opinia taka bywa stawianą wprost bezzasadnie, a powstaje wskutku jakichś stronnych przekonań, namiętności, słowem, sympatyj lub antypatyj, czyich do czegoś lub do kogoś. Powstały jaki przesąd urabia się przez pewien czas w pewnych warstwach społecznych, w pewnych tłumach, które nie wnikając w istotę przesądu i przyczyny jego—nie badając takowego, przyjmują go wprost bez uprzedniej krytyki i tym sposobem dają mu niejako fałszywy stempel zdecydowanego przekonania i dowiedzionej prawdy. Taką oto drogą przesąd każdy urabia się i zyskuje niezasłużone prawo obywatelstwa, otumaniając umysły tłumów. Otumanianie to trwać może dopóty, dopóki ktoś nie obali przesądu, lub czas pod wpływem właściwego procesu stosunków społecznych nie zrodzi właściwej reakcyi. Przesąd więc jest czemś złem, czyli kardynalnym błędem gnieżdżącym się w tłumach, a wyradzającym w skutkach swoich gorzkie częstokroć owoce. Jako więc taki jest w zasadzie znakomitym materyałem do komedyi, która z charakteru swego winna być ostrą satyrą, wyśmiewającą błędy, karcącą wady społeczne, towarzyskie, koteryjne, gromiącą śmieszności, nieoszczędzającą żadnego fałszu, żadnej strony ujemnej obyczajów i przyzwyczajeń ludzkich w celu wykazania jaskrawo i dobitnie monstrum, a wyświetlenia prawdy, zacności, szlachetności i dobra.

Przesądy istniały w społeczeństwach zawsze i urabiały się względnie do wyobrażeń, przyzwyczajeń, namiętności, ducha czasu, etc. — i dziś one istnieją w każdem społeczeństwie z pewnemi mniej więcej odmianami, względnie do warunków moralnych, umysłowych i materyalnych każdego z nich. Nasze społeczeństwo nie jest także wolne od przesądów, owszem, ma ich nie mało, a może nawet więcej jak niektóre inne. Jest więc w czem przebierać i komedyopisarz nasz nie mógłby się uskarżać na brak materyału.

P. Lubowski w swojej komedyi starał się przedstawić dwa mianowicie *przesądy*, gnieżdżące się w społeczeństwie naszem, a w skutkach swoich bardzo zgubne, bo zrywające nić jedności i solidarności społecznej. Temi są: przesąd arystokracyi rodowej o niższości, że się wyrazimy językiem Darwina, gatunku elementów demokratycznych i nawzajem przesąd demokracyi, czyli stanu niebłyszczącego herbem karmazynowym, lecz pracą dorabiającego się znaczenia materyalnego o tejże arystokracyi, jako o stanowczo zgniłym i uległym rozkładowi zupełnemu pod względem czynu i moralności organizmowi. Takie postawienie kwestyi, przyznać trzeba, było bardzo udatne. Zobaczymy więc teraz jak się p. L. wywiązał z przeprowadzenia tej kwestyi.

Hrabia Artur Orski (p. Leszczyński) potomek świetnego imienia arystokratycznego i fortuny, a sławny zwycięzca na turniejach miłostek zakulisowych i niezakulisowych, wśliznął się do domu zamożnego fabrykanta Żylastowicza (p. Rapacki), by uszczknąć jeszcze jeden kwiat do wieńca swej donżuanowskiej chwały. Żylastowicz bowiem miał córkę Julję (p. Modrzejewska), na którą właśnie ostrzył sobie ząbek powabny hrabia, lew salonów i niezmordowany gracz w arenie lekkich miłostek. Julja zaś to, dziewcze trochę rozmarzone, trochę niedoświadczone, ale ładne i poczciwe. Otóż ów hrabia Artur z całą znajomością sztuki podbijania serduszek niewieścich, rozkochał w sobie niedoświadczoną Julję, w zamiarze kradzieży pierwszej słodyczy, a potem pozostawienia złamanego kwiatka na pastwę losu i pójścia sobie w swoję stronę dla szukania zdobyczy nowych, nie robiąc żadnego w tym razie skrupułu. Był bowiem zdania, że tak córka mieszczańska, jak i serce papy fabrykanta urobione są z nieprzemakalnej wyksatyny, po której łzy ich ściekać mogą do woli, lecz na dobre ich nie zamoczą. Czyli inaczej, był prawie przekonania, że oni ulepieni są z fajansu lub z glinki ogniotrwałej—gdy on z porcelany chińskiej. Taki mniej więcej uważał pomiędzy niemi a sobą stosunek, z czego wypływa, że z czystem sumieniem można broić. Tu więc widzimy przesąd. Pan Żylastowicz uważając siebie za nic więcej jak tylko za porządnego fabrykanta, który przed kilkunastu laty posiadał całego majątku 30 kop., a dziś niezmordowaną a uczciwą pracą doszedł do kolosalnego mienia,—nie znosi hrabiów, a nawet nie lubi wymawiać tytułu tego.—W jego przekonaniu każdy hrabia to niedołęga, pasożyt, pojęcia o pracy, zacności i uczciwości ludzkiej nie mający i mieć nie mogący. W tem właśnie upatrujemy drugi przesąd. Tak tamten jak i ten wyglądają jak dwa przeciwległe bieguny, które gdyby nie magnetyczna siła wypadków życiowych, nigdyby się z sobą nie zetknęły. Te dwa przesądy wyrosły na niwie silnej antypatyi, jakie znów różność położeń socyalnych i cała geneza tych warunków wyrobiła.

Postawiwszy tak dwa obozy przeciw sobie, trzeba było wynaleść jakowe *medium*, któreby jako czynnik etyczny postawiło akcyę na drodze do wykazania całej niekonsekwencyi takich przesądów i w rezultacie posłużyło do wysnucia konsekwencyi sztuki. Takiem *medium* był hrabia Zdzisław Orski (p. Tatarkiewicz), brat stryjeczny hr. Artura. — Ażeby módz być takiem *medium*, potrzeba reprezentować w swojej osobie coś innego, jak rozpieszczone, rozgrymaszone i rozbirbantowane hrabiątko. Tak też i było. Hrabia Zdzisław jakkolwiek jednego szczepu z hr. Arturem, jest materyalnie bie-

dnym. Cały majątek jego stanowi tyle tylko co na nim, to jest: jeden jedyniuteńki garnitur—zresztą nic, prócz zacności charakteru, wysokiego pojęcia godności osobistej, gorącej chęci do uczciwej pracy i..... trochę znajomości buchalteryi. O tej zdolności dowiedzieliśmy się z rozmowy jego z Żylastowiczem.— Hr. Zdzisław szuka pracy, zajęcia i nigdzie ich znaleść nie może. Lecz dla czegoż to? Dla tego, że nie chcą mu uwierzyć, by do czegoś pożytecznego jako hrabia był zdatnym. Wprawdzie mógłby mieć utrzymanie, dosyć wygodne — o bardzo smacznych obiadkach, w gronku arystokratycznem, ale pod warunkiem zostania masztalerzem u swego kuzyna, lub sekretarzem u starej księżnej, co wychodzi na jedno z gatunkiem obskurnego pieczeniarza—nie chcemy śleć. A dlaczegóż to znów? Bo jest szlachetny, zacny i dumny. Szanuje on mitrę swych przodków dla tego że na nią krwawo zapracowali,—korzyści z niej ciągnąć nie ma pretensyi, lecz splamić ją poczytałby sobie za zbrodnię. Ten hrabia Zdzisław wyczytał w gazecie ogłoszenie, że Żylastowicz potrzebuje pomocnika do fabryki i kantoru, któryby jego samego w danych razach mógł zastępować. Zgłasza się więc na miejsce i bardzo niesmacznie z początku przyjmowanym zostaje przez Żylastowicza, dla tego tylko, że jest hrabia. Po chwili wszakże rozmowy, w której krótko a węzłowato przejawia się sposób myślenia Zdzisława, Żylastowicz lgnie do niego mówiąc, iż pierwszego dopiero hrabiego spotyka, któremu ściska tak serdecznie dłoń i którego bez wstrętu tytułuje hrabią.

Hr. Zdzisław zostaje tedy pomocnikiem i buchalterem Żylastowicza, z którym jak twierdzi ten ostatni, nigdy się już chyba nie rozejdzie.

Taki stosunek widzimy w pierwszym akcie i to dosyć jasno i naturalnie postawiony.

W następnych aktach akcya się toczy między pierwszorzędnemi osobami sztuki na tle drugorzędnych figur, w ten mniej więcej sposób, że Zdzisław poznawszy ze znalezionego przypadkiem, a ukrytego w żardinierce listu, niecne zamiary hr. Artura względem niewinnej Julii, paraliżuje takowe i jak anioł opiekuńczy czuwa niepostrzeżenie nad nią i prawie całym domem Żylastowicza. Artur niemogąc dojść niecnym sposobem do posiadania tego młodego kwiatka, decyduje się dojść do niej przez ołtarz, lecz zostaje nieprzyjętym nawet i tą drogą. Koniec taki, że Julja idzie za hr. Zdzisława, który dwa razy uratował jej honor.

Oto jest treść sztuki w główniejszych zarysach a cała akcya komedyi jest niejako płótnem tego zacnego w tendencyi swej obrazka. Nie wspominamy więc o działalności drugorzędnych postaci, ponieważ jest to zbytecznem, a pominięcie takowej w niczem nie zrobi ujmy w zrozumieniu przewodniej myśli, jaka się przejawia w głównej akcyi.

Z powyższego więc przeprowadzenia głównych rysów widzimy, że kwestya *przesądów* odrazu w zasadzie rozwiązaną została w ten sens, iż nie wszyscy hrabiowie trzymają nizko o tak zwanej demokracyi—a z drugiej strony, że taki demokrata jak Żylastowicz uznaje możliwość połączenia w jednej osobie uczciwości, pracy i godności hrabiowskiej.

Cała komedya p. Lubowskiego jest bardzo wdzięczną, o tendencyi szlachetnej, nawet bardzo zacnej, za wybór której należy się uznanie p. Lubowskiemu,—akcya przytem żywa, pojedyńcze kombinacye udatne, wiele nawet wesołego i sympatycznego dla nas komizmu znajdujemy w niej i prorokować można tej sztuce długie i pomyślne powodzenie, nietylko na scenie naszej ale i innych. Publiczność zadowolniona z komedyi, klaszcze szczerze i śmieje się serdecznie. Cóż więc żądać więcej można, zapytać kto może..... jak tylko sztuka podobała się— to o cóż chodzi? Bezwątpienia, przymioty, o jakich powyżej mówiliśmy, stawiają komedyę tę wcale wysoko, lecz obok tego znajdują się rzeczywiście błędy, które mogą wcale nie razić publiczność, a nawet przejść mimo niej niepostrzeżenie.—Z krytyką wszakże rzecz ma się inaczej i tak być powinno—bo na to jest krytyka, ażeby jasno widziała i jasno sądziła.

Można zresztą napisać komedyę bardzo wdzięcznie, która nawet bardzo się podoba tak jak np. *Przesądy*, a można obok tego popełnić niektóre błędy w pewnych zasadniczych prawidłach sztuki.

Gdybyśmy byli bardzo wybredni w ocenie samej sztuki, zarzucilibyśmy *Przesądom* niejaki pośpiech w rozwiązywaniu odrazu kwestyi, prawie na początku sztuki i to wtedy, gdy cała sprawa jasno jeszcze postawioną nie została—ponieważ w akcie pierwszym nie znamy jeszcze hr. Artura Orskiego, który dopiero w następnych nam się zarekomendował. A przecież ten to właśnie hr. Artur reprezentuje przesąd arystokracyi do demokracyi.

W pierwszym tedy akcie widzimy tylko jeden przesąd, reprezentowany przez antypatye Żylastowicza—a obok tego koniec aktu pierwszego rozwiązuje obie kwestye, czyli przesądy dwóch przeciwnych sobie elementów. Artystyczny więc pomysł budowy tej komedyi zwichniętym nieco został na punkcie pewnych zasad estetycznych, które wymagają najpierw założenia, zawiązania i przeprowadzenia akcyi, a w końcu dopiero rozwiązania sztuki.

Postać Żylastowicza jest bardzo poczciwą i wdzięcznie skreśloną—a bodaj czy nie najlepiej wyszła ze wszystkich. Dostrzegliśmy w niej wszakże pewną niezgodność z sobą. Jak już powiedzieliśmy jest on antagonistą karmazynów i to nieubłaganym prawie, a przyjmował i znosił w swoim domu przez miesięcy sześć i dwa tygodnie takiego lekkomyślnego, hrabiego Artura. Przyznać trzeba że to nie już zbytnią cierpliwością, ale nawet szlamazarnością w obec przekonań własnych trąci, a tem nieprawdopodobniejszą, że ów fabrykant to człowiek sprężysty, energiczny i nie da sobie w kaszę dmuchać. Ale cóż poczciwiec miał robić, kiedy mu autor kazał siedzieć cicho przez tak długi czas i znosić wstrętną dla siebie hrabiowską postać. W komedyi tej oprócz innych, które pomijamy figur, kręci się niejaki Spürer, bogaty kapitalista (p. Ostrowski), mający sześć milionów talarów i córkę. Dorobkiewicz ten zawojowany przez córkę, którą wydaje za Artura, wraz z czterema milionami talarów — imituje niemca, wyraźnie niemca. Powiadamy, że imituje tylko, a to dla tego, iż niemiec przy swojej praktyczności całej, nie będzie z pewnością na tyle głupim, aby prosić się rozbirbantowanego hrabiego by wziął jego miljony wraz z córką i później je stracił. Niemiec każdy jest chciwy i dobrze oblicza, a na takie plewy, jak tytuł w zwichniętym jeszcze człowieku złapać się nie da—i prędzej odda córkę swą za jakiegoś fabrykanta, dorobkiewicza, jak za utracyusza hrabiego. Gdyby ten Spürer nie był niemcem, lecz żydem, to postać taka w związku z swą akcyą byłaby zgodniejszą z prawdą, ponieważ w żydach znachodzimy pierwiastki i to duże: pierwiastki pychy, gdy się dorobią miljonów. Wtedy żydzi łapią się chętnie na lep, jakim są tytuły hrabiowskie, a nawet gonią za nim.

Postaci barona Laufen nie rozumiemy w sztuce, jest ona zupełnie zbyteczną, choć znakomita gra pana Żołkowskiego pobudza bardzo często do śmiechu publiczność. Jest to jakiś typ szudrawca Wiedeńskiego, lub coś w rodzaju *baüerfängerów* berlińskich—postać zupełnie nieznana u nas, nie mająca najmniejszego związku z społeczeństwem naszem, ani też z rzeczą właściwą *Przesądów*. Pląsze się więc on niepotrzebnie po scenie, a postawiony jest chyba na to, by gonić za nieusprawiedliwionym efektem. Za to postać pani Zefiryny Krzykusiewiczowej siostry Żylastowicza (p. Niewiarowska) jest bardzo stosowna, a słabość jej do tytułów hrabiowskich, choć nieco trąci szarżą, niemniej jest właściwą. P. Niewiarowska grą swoją dobrze zasłużyła się sztuce.

Figurę Migdalskiego (p. Szymanowski) można było dokładniej i silniej skreślić, bo taki pieczeniarz jest bogatym materyałem dla komedyi. P. Szymanowski robił z roli co mógł, a robił dobrze, z talentem właściwym sobie. Lecz gdyby zamiast barona Laufen postać Migdalskiego była lepiej obrobioną i do działalności w głównej akcyi przypuszczoną, sztuka niewątpliwie zyskałaby na tem.

Pan Leszczyński w roli hr. Artura grał wybornie, a i pan Tatarkiewicz nie gorzej także—nakoniec p. Wolski jakkolwiek nie wielką miał rolę (Lucyan syn Żylastowicza), oddał ją z ogromną werwą. Już to w ogólności przyznac trzeba, że *Przesądy* dostały się na scenie nsszej w znakomite artystyczne ręce. Jednąbyśmy tylko w tem miejscu uwagę zrobili, że p. Modrzejewskiej szkoda właściwie dla roli Julii, mogłaby ją zastąpić bardzo dobrze p. Popiel Romana. Postać bowiem Julii posiada kontury bardzo zwyczajne i bardzo skromne—a nakoniec za szybko po miłości dla jednego oddaje serduszko drugiemu. Niewiadomo jakim to sposobem tak szybko się stało. Prawda że ten drugi uratował jej honor, to też wdzięczność i przyjaźń tymczasem dostatecznemi byby były: a psychyczna prawda wymagałaby odłożyć miłość do bliższego jeszcze poznania się, żeby dopiero troszeczkę później, nie tak nagle, mogli oboje po uszy zakochać się w sobie.

Feliks Ehrenfeucht.

Drzwi muszą być otwarte albo zamknięte.

PRZYSŁOWIE w I-ym AKCIE

Alfreda de Musset.

Tłomaczył *W. Jaczewski.*

OSOBY:

Hrabia.

Margrabina.

(Rzecz dzieje się w Paryżu.)

Hrabia, Margrabina *(na kanapie przy kominku, haftuje).*

Hrabia *(wchodzi).* Nie, doprawdy, jestem nieuleczony, roztargnienie moje doszło do najwyższego stopnia. Żadną miarą zapamiętać nie mogę, który mianowicie dzień w tygodniu przeznaczyłaś margrabino na przyjmowanie gości u siebie. A ile razy mam chęć widzenia się tylko z tobą, wypadnie to jak gdyby umyślnie, zawsze we wtorek.

Margrabina. Czy masz co hrabio do powiedzenia?

Hrabia. Nie; ale przypuśćmy, że chciałbym pomówić z tobą sam na sam, nie mógłbym tego uczynić; bo, że ciebie w tej chwili zastaję samą, to wyjątek, a z pewnością za mały kwandransik, zjawi się tu cała falanga serdecznych przyjaciół, przed którymi, uprzedzam panią, uciekam natychmiast.

Margrabina. Prawda, że to dziś jest dzień moich *recepcyj*, nie rozumiem sama po com go wybrała. A jednak ta moda, ma sw oję racyę bytu, da się usprawiedliwić. Domy naszych matek, były otwarte każdego dnia; wyborowe towarzystwo nie było zbyt liczne i każde kółko składało się po większej części z pewnej liczby nudziarzy, których z konieczności znosić musiano. Dziś, jeżeli kto otwiera salony, widzi u siebie cały Paryż, tak jest cały, miasto i przedmieścia. Siedząc w domu, jest się ciągle, jak gdyby na ulicy; trzeba więc było temu zaradzić i stąd to właśnie powstał ten zwyczaj przyjmowania wizyt tylko w pewne wyznaczone dnie. To jedyny sposób widywania się jak najrzadziej, gdyż, jeżeli kto mówi: „Ja przyjmuję we wtorki,“ to ma znaczyć: „przez resztę dni dajcie mi pokój.“

Hrabia. Tembardziej zawiniłem, przychodząc tu dziś, ponieważ pozwalasz mi pani odwiedzać siebie i w inne dnie prócz wtorków.

Margrabina. Nie tłomacz się hrabio, ale usiądź tu oto. Jeżeli jesteś w dobrym humorze, w różowem usposobieniu, będziesz mi co opowiadał, w przeciwnym zaś razie, możesz się grzać przy tym kominku. Nie spodziewam się dziś licznych gości, będziesz ich wkrótce widział, przesuwających ję jak obrazki w czarnoksięzkiej latarni. Ale co panu jest? wydajesz mi się...

Hrabia. Jakim?

Margrabina. Nie powiem.

Hrabia. A ja, przyznam ci się otwarcie: wpierw nimem tu przyszedł, byłem takim troszeczkę....

Margrabina. Pozwolisz, że teraz ja zapytam: jakim?

Hrabia. Nie będziesz się gniewała margrabino, jeżeli powiem?

Margrabina. Jadę dziś wieczorem na bal, chcę być na nim piękną, otóż dla tego nie myślę gniewać się dzień cały.

Hrabia. A więc, byłem trochę znudzony. Nie wiem co mi jest; te nudy, to pewna modna choroba, jak twoje *przyjęcia* margrabino. Rozpaczam już od południa: zrobiłem cztery wizyty, nikogo nie zastałem, nikogo; byłem proszony na obiad, odmówiłem bez przyczyny. Wieczorem nie ma żadnego widowiska. Wyszedłem z domu i co krok spotykałem przechodniów z nosami pąsowemi i policzkami zsiniałami od mrozu. Nie wiem sam co robić? jak czas zabić?

Margrabina. Ja również nudzę się śmiertelnie, to powietrze wywiera na nas ten wpływ.

Hrabia. W istocie dzisiaj chłód jest przejmujący, zima jest także chorobą; prawda, że nie wszyscy tak sądzą. Byle niebo było jasne a chodniki pokryte lodem, nie baczą na wiatr, który ich niemiłosiernie smaga, ślizgają się i bawią w najlepsze. Dzień taki sprawia im pewną przyjemność i chociaż drżą od zimna, jednak z uśmiechem na ustach wołają: „O dzielny mróz!“ Tak jak gdyby kto mówił uradowany: „O dzielne zapalanie płuc. Arcy-oryginalna przyjemność!

Margrabina. Jestem najzupełniej twego zdania mój hrabio i sądzę, że raczej widok tych którzy najswobodniej oddychają tem mroźnem powietrzem, wprawia mnie w ten stan znudzenia, niżeli samo powietrze; gdyby Bóg wie jak przenikającem i mroźnem było. Powodem tegomniemania jest może to, że się już starzeje my; ja zaczynam rok trzydziesty i tracę dawną umiejętność życia.

Hrabia. Co do mnie, nie posiadałem jej nigdy i przeważa u mnie to właśnie, że zaczy nam jej nabierać. Z wiekiem człowiek staje się albo głupcem albo szaleńcem, a ja w śmiertelnej jestem obawie bym nie skończył mego żywota jak jaki mędrzec.

Margrabina. Zadzwoń hrabio, niech większy ogień na kominku rozpalą, ziębnę słuchając twoich zdań.

Hrabia *(słychać dzwonek).* Nie warto margrabino, słyszę zadzwonek, procesya nadchodzi.

Margrabina. Zobaczymy pod czyją chorągwią, ale ty Hrabio zostać musisz koniecznie.

Hrabia. Nie, stanowczo, odchodzę, idę.

Margrabina. Dokąd?

Hrabia. Sam nie wiem. *(Wstaje, kłania się, idzie ku drzwiom i otwiera).* Do widzenia Margrabino, do czwartku wieczorem.

Margrabina. Dla czego do czwartku?

Hrabia *(Ciągle we drzwiach).* Wszak to twój abonement na włoską operę, zrobię ci w loży krociótką wizytę.

Margrabina. Nie chcę, zbyt nudny jesteś hrabio, a powtóre biorę z sobą pana Camus.

Hrabia. Pana Camus, twego sąsiada ze wsi?

Margrabina. Tak jest; on mi odstąpił pewną ilość gruszek i siana, ze swego ogrodu tego lata, z wielką uprzejmością, i chcę mu się wywzajemnić zapraszając go do loży w teatrze!

Hrabia. Margrabino! Przebóg. Camus, najnudniejsze stworzenie pod słońcem, trzeba go było raczej nakarmić owemi produktami, których ci odstąpił z taką jak powiadasz uprzejmością. Ale à propos, czy wiesz co mówią?

Margrabina. Nie wiem, lecz cóż to znaczy, nikt nie przychodzi, któż to dzwonił?

Hrabia *(zbliża się do okna).* Nie widzę nikogo; aha! zdaje się ze to jakaś dziewczynka z pudełkiem czy kartonem; słowem z jakiemś czemś, stoi na podwórzu i rozmawia z twoją służbą.

Margrabina. Pan to nazywasz „jakiemś czemś,“ grzecznie, to mój czepeczek. Więc coś tam mówią o mnie i o panu Camus? Zamknijże hrabio te drzwi, wieje niemiłosiernie.

Hrabia *(zamyka drzwi).* Mówią, że powzięłaś pani zamiar wejść powtórnie w związki małżeńskie, że pan Camus jest miljonowym, i że bywa u ciebie bardzo często.

Margrabina. Doprawdy? i nic więcej? I pan mi to mówisz tak w oczy, bez ogródek.

Hrabia. Powiedziałem pani, gdyż wszyscy o tem mówią.

Margrabina. To słuszny powód. Czy ja panu powtarzam wszystko co świat o panu mówi?

Hrabia. O mnie pani? A cóż to być może, czego by powtórzyć nie wypadało?

Margrabina. Widzisz przecie, że wszystko daje się powtarzać, skoro mi sam w tej chwili oznajmiasz, że jestem prawie narzeczoną pana Camus. To co mówią o panu jest co najmniej takiejże doniosłości, gdyż niestety..... to ma pozory prawdy.

Hrabia. Cóż to być może? Truchleję...

Margrabina. Tem większy dowód, że to co mówią nie jest mylne.

Hrabia. Wytłomacz się Margrabino, proszę.

Margrabina. O wcale nie; to do mnie nie należy, nie wglądam w cudze sprawy.

Hrabia. Błagam cię margrabino, proszę jak o łaskę. Ty jesteś dla mnie jedną osobą na świecie, której opinię najbardziej cenię.

Margrabina. Omyliłeś się hrabio, nie jedną osobą, ale jedną z osób, chciałeś powiedzieć.

Hrabia. Nie pani, powiadam; jedną jedyną, której szacunek uczucia...

Margrabina O Nieba! układasz jakiś frazes·

Hrabia. Wcale nie. Jeśli pani nic nie spostrzegasze, to chyba dla tego tylko, że patrzeć nie chcesz.

Margrabina. Patrzeć? na co?

Hrabia. Ależ bo nareszcie, można się domyśleć, zrozumieć.

Margrabina. Domyślać się niczego nie lubię, rozumiem to tylko o czem mi mówią wyraźnie, a przytem wyznam ci hrabio, że i wtedy nawet nie zawsze słucham z natężoną uwagą.

Hrabia. Pani szydzisz ze wszystkiego; ale mówiąc szczerze, czyliż podobna aby widując panią od roku, prawie każdego dnia, tak pełną rozumu, i wdzięku ...

Margrabina. Dla Boga! to gorzej niżeli frazes, to rodzaj oświadczyn. Powinieneś przynajmniej uprzedzić: czy mam to przyjąć rzeczywiście jako oświadczenie się z miłością, czy raczej jako zwyczajny, powszedni komplement.

Hrabia. A gdyby to było właśnie oświadczenie.

Margrabina. Nie przyjęłabym cię dziś wcale,

mówiłam ci, że jadę na bal a tam z pewnością narażoną będę nie przez jednego w tym rodzaju; zdrowie moje nie pozwala mi znosić czegoś podobnego dwa razy dziennie.

Hrabia. Naprawdę margrabino! najśmielszemu odbierasz odwagę zupełnie, otóż cieszyć się będę gdy z kolei ty sama w podobnem położeniu znajdować się będziesz.

Margrabina. I ja również cieszyć się będę. Przysięgam ci hrabio że są chwile, w których ofiarowałabym ogromne summy, żeby mieć chociaż jaką malutką przykrość. Przed chwilą byłam właśnie w takiem usposobieniu, przy ubieraniu się, wzdychałam w rozpaczy, że nie miałam o czem myśleć.

Hrabia. Żartuj sobie, żartuj, kolej i na ciebie przyjdzie.

Margrabina. To jest bardzo możebne: wszyscy jesteśmy śmiertelni a więc pod pewnemi względami jednacy. Że jestem taką jaką mnie znasz, czyja w tem wina? Zaręczam ci hrabio, że ja się nie bronię.

Hrabia. A jednak hołdować sobie nie pozwalasz?!

Margrabina. Nie. Dobrą jestem bardzo; znoszę wiele, ale to już zbyt nierozsądne. Powiedz sam hrabio, masz przecie zdrowy sąd o rzecach, co właściwie znaczy to składanie hołdów kobiecie?

Hrabia. Znaczy, że ta kobieta się nam podoba i że miło nam jest mówić jej o tem.

Margrabina. Dobrze. Ale czy ta kobieta życzy sobie nawzajem wam się podobać. Przypuszczam, że w oczach pana jestem piękną i że mówić mi o tem sprawia ci hrabio pewną przyjemność, że cię to bawi. Ale cóż to dowodzi? Czy mam dla tego kochać pana? Sądzę, że gdyby się mnie ktoś podobał, to wcale nie dla tego, że mnie on znajduje piękną. Co za korzyść przynoszą mu te komplementa? W dziwny sposób chcecie skłonić kobiety by was kochały i stajecie przed niemi uzbrojeni w nieodstępne szkiełko w oku, oglądacie je od stóp do głowy, przypatrujecie się im jak lalkom w sklepowej wystawie, powiadacie nareszcie bardzo miłym głosikiem: „Pani jesteś czarująca" dodajecie kilka frazesów okrutnie mdłych, walca i bukiet, i to się nazywa składać hołdy należne osobie. Fe! nie pojmuję, jak może człowiek rozumny smakować w podobnych błazeństwach. Na samą myśl o tem wpadam w złość.

Hrabia. A jednak nie ma o co się gniewać...

Margrabina. Jest o co i bardzo; gdyż musicie mniemać, że kobieta która się daje oczarować takiemi środkami, musi mieć głowę dobrze pustą i spory zapas płochości. Czy myślisz hrabio, że to bardzo zabawnie pędzić życie wśród istnego potoku tych niedorzeczności i słuchać od rana do nocy ckliwych i nudnych frazesów. Doprawdy, mnie się zdaje, że gdybym była mężczyzną i widziała jaką piękną kobietę, pomyślałabym sobie: Biedna to istota, musi być okrutnie komplementami dręczona, oszczędziłbym jej swoich i litował się szczerze. Ale gdybym naraz chciał sprobować podobać się tej osobie, zrobiłbym jej ten zaszczyt i mówił o czem innem, jak o jej rysach twarzy. Niestety! u nas temat zawsze ten sam: „Pani jesteś piękną! pani jesteś piękną! i jeszcze raz piękną!" A mój Boże! wiemy o tem przecie same. Słowem, powiem ci: Wy mężczyzni à la mode, wyście przebrani cukiernicy, wciąż gotujecie nam jakieś syropy, słodycze przecudne.

Hrabia. A mimo to jednak, myśl sobie jak ci się podoba. Powiadam: że jesteś pani czarującą. *(Słychać dzwonek).* Ktoś znowu dzwoni; do widzenia, uciekam. *(Wstaje i otwiera drzwi).*

Margrabina. Ale poczekaj hrabio.... miałam ci powiedzieć... Teraz już sama nie wiem co.. Aha! czy nie będziesz czasem przechodzić koło Fossinn'a.

Hrabia. Wstąpię do niego umyślnie boć rad jestem korzystać ze sposobności i stać ci się użytecznym margrabino.

Margrabina. Znowu komplement! Boże jak mnie pan nudzisz! Oto złamałam pierścionek, mogłabym go posłać tak jak jest, ale muszę ci coś wytłomaczyć. *(Zdejmuje pierścionek z palca).* Patrz, widzisz, ten sygnecik, on się z tej strony otwierał, uderzyłam nim dziś rano nie wiem o co i sprężyna pękła...

Hrabia. Margrabino, wybacz mi moję zbytnią ciekawość ale powiedz: czy tu były włosy?

Margrabina. Być może. Cóż znaczy ten uśmiech? (d. n.)

ROZMAITOŚCI.

Naukowe.

— W początku roku bieżącego utworzone zostało nowe towarzystwo mineralogiczne Wielkiej Brytanii i Irlandyi, które głównie i wyłącznie ma się zajmować mineralogiją i petrologiją. Składać się będzie z członków zwyczajnych honorowych i członków korespondentów. Oprócz ogólnych posiedzeń rocznych, towarzystwo może odbywać posiedzenia nadzwyczajne, miejscowe, w jakimkolwiek czasie i miejscu, na żądanie sześciu członków; towarzystwo będzie mieć swój własny organ naukowy. Prezesem jest H. C. Gorby znany mikroskopista i członek towarzystwa królewskiego, sekretarzem R. P. Goey, członek towarzystwa geograficznego. Do składu komitetu który w Anglii nosi nazwę Rady, weszli ludzie znani w świecie naukowym.

— Kwestyja pliki, zwanej pospolicie kołtunem, która trzy wieki z górą była przedmiotem zaciętych walk i sporów, nareszcie uznaną została za ostatecznie rozwiązaną. W dniu 8-ym Maja r. b. Towarzystwo Lekarskie Wileńskie odbyło posiedzenie nadzwyczajne, dla wysłuchania sprawozdania komisyi, do ocenienia prac na konkurs o kołtunie nadesłanych wyznaczonej. Po odczytaniu sprawozdania przez D-ra Lewandowskiego, referenta rzeczonej komisyi, przystąpiono do głosowania i jednomyślnie przyznano nagrodę konkursową rs. 500, autorowi pracy opatrzonej znakiem „salva meliori." Autorem takowej jest Henryk Dobrzycki, lekarz szpitala w Mieni.

Literackie.

— Kuryer Lubelski w Nr. 57 pomieścił króciutki ale niemniej interesujący artykulik pana Wacława Aleksandra Maciejowskiego p. t.: *Przyjęcie do Polski żydów i pierwsze ich z jej miastami zajścia.*

— Ruskie gazety donoszą, że tygodnik wychodzący w Petersburgu p. t. „Przegląd Finansowy" został nabyty przez bankiera warszawskiego L. Kronenberga i księgarzy Wolffa i Henkla.

— Pan Wojciech Gerson przełożył z włoskiego i wydał w tych dniach własnym nakładem rozprawę o malarstwie, Leonarda da Vinci, ogłoszoną w Paryżu przez Rafaela de Fresue w r. 1651. Pierwsza stronica ozdobiona jest wizerunkiem Leonarda da Vinci, podług ryciny Rafaela Morghena, z własnoręcznego portretu Leonarda, przyczem zamieszczony został sonet mistrza: *Chcieć i módz* w przekładzie polskim Adama Pługa.

— Nakładem Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego" wyszedł w tych czasach na widok publiczny drugi zeszyt polskiego przekładu dzieła Samuela Smilesa p. t.: *Oszczędność.*

— W Krakowie wyszła z druku praca Wincentego hr. Łosia p. t.: *Rzecz o wizerunkach Stanisława Augusta.*

— We Lwowie nakładem księgarni Polskiej wyszedł zbiorek wierszy, treści społecznej, p. t.: *Z dróg zapomnianych,* przez Teofila Szumskiego.

— Na tegoroczny konkurs ogłoszony we Lwowie na teatrzyki amatorskie dla dzieci, nadeszły dotąd następujące utwory: *Podstęp ukarany*, komedyjka w trzech odsłonach *Fanfaron ukarany* komedya w dwóch aktach — *Oliwa wypłynie*, obrazek sceniczny w jednej odsłonie ze śpiewkami — *Macocha*, obrazek dramatyczny w dwóch aktach — *Na wakacye*, obrazek sceniczny w jednym akcie — *Lepiej się uczyć*, komedyjka w 2 aktach i *Janek* komedyjka w 1 akcie.

Termin do nadsyłania utworów na konkurs, oznaczony do końca b. m. Maja.

— Bardzo niedługo bo z dniem 1 lipca r. b. „Gazeta Polska" i „Warszawska" powiększają podobno swój format.

Artystyczne.

— Pan Gustaw Frieman, artysta-skrzypek gości obecnie w Płocku i ma zamiar dać się tam słyszeć publicznie.

— Bawiąca obecnie w Warszawie orkiestra damska, wedle drukowanych adresów jakie posiada, występowała już na obu półkulach ziemskich w 139 miejscowościach, a mianowicie: w Austryi w 10, w Niemczech 21, we Francyi 24, we Włoszech 25, w Rosyi 3, w Anglii 12, w Ameryce 44 razy.

— We Wtorek 23 Maja miało miejsce 200 przedstawienie opery Moniuszki *Halka*. Licznie zgromadzona publiczność ze zwykłym zapałem przyjmowała znakomity utwór zgasłego mistrza.

— Dramat pana Falkowskiego p. t: *Koniec Stuartów*, ukazał się na krakowskiej scenie poraz pierwszy 20. b. m. Dwie główne role Karola Edwarda i Kardynała York, urodzonych z Sobieskiej, przedstawili pani Hoffman i pan Rychter. Wystawiony był dramat na benefis pana Rychtera.

— Nowy konkurs dramatyczny ogłoszony został przez zarząd Poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk i warunki bardzo korzystne. Nagroda 1-sza 1500 marek (750 złr.) dramat albo komedya. W braku utworów bezwzględnie dobrych, nagrody, jedna 900 marek, druga 600 marek, przyznaną będzie najlepszym względnie utworom. Sztuki nie uwieńczone nagrodą, mogą uzyskać pochwałę lub zalecenie do przedstawienia scenicznego. Wykluczone są sztuki tłómaczone, tudzież grane już albo drukowane, albo takie, które się ubiegały już o nagrodę w konkursach dramatycznych w Warszawie, Krakowie i Lwowie. Zmiana tytułu lub przerobienie treści nie znosi wykluczenia. Z tego powodu komisya konkursowa zasięgnie wiadomości u wymienionych komisyj konkursowych. Termin *Prima Aprilis*

(1 Kwietnia) 1877 r., na ręce pana Hieronima Feldmanowskiego w Poznaniu, Młyńska 35.

— W Kalwaryi mieście liczącem 10,000 ludności zatrzymał się na 10 przedstawień dyrektor truppy prowincyonalnej p. Ratajewicz. Pierwsze to od lat trzydziestu towarzystwo artystyczne, jakie do Kalwaryi zawitało.

Społeczne.

— Zamiast pieniężnej gratyfikacyi, dla urzędników Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, której projekt wniesiony w roku zeszłym przez komitet, z powodu 50-letniego jubileuszu istnienia towarzystwa, przyjętym nie został, proponowane jest podobno pobudowanie domów mieszkalnych dla urzędników którzy wartość ich zwrócić mają Towarzystwu sposobem amortyzacyjnym.

— Gazeta „Nowoje Wremia,“ pisze, że Ministeryum kommunikacyi wydrukowało już ustawę kolei Koluszkowsko-Iwangrodzko-Dąbrowskiej, wraz z dołączającemi się do ustawy anszlagami i warunkami połączenia się nowej kolei z koleją Fabryczno-Łódzką (wiorst 26) której prezes zarządu pan J. Bloch otrzymuje koncessyę i na nową linię na warunkach bardzo korzystnych i z usunięciem wszystkich innych konkurentów.

— W Kijowie przy rozkopywaniu miejscowości około tak zwanej „Dziesiatinnoj Cerkwi“ znaleziono skarb wielki ze złotych przedmiotów złożony. Oprócz bardzo małej cząstki, wagi kilku funtów wszystkiego, reszta przepadła dostawszy się w ręce żydków.

— W dniu 29 Kwietnia roku bieżącego, we wsi Bonisławiu, gminy Lelice, powiecie Płockim, dwaj 16-letni chłopcy, używani przez właściciela do paszenia bydła, z oburzającem na swój wiek okrucieństwem, obeszli się z 7-letnim sierotą Józefem Karczmarskim, któremu chcieli zdać pieczę nad powierzonem im bydłem, aby samym przez ten czas zabawić się grą w karty. Na odmowną jego odpowiedź, umyślili ukarać go bolesną operacyą, niby *zdjęciem prochu*, która polegała na tem, że nieszczęsnej ofiarze gnietli brzuch i wycierali język i nozdrza solą. Pastwiąc się w ten sposób nad biednem dzieckiem, włożyli go wreszcie w worek i chcieli utopić, ale po chwili zastanowienia, oświadczyli, że z litości darują mu życie.

Tak okrutnie dręczony chłopiec niebezpiecznie przez dni 10 chorował i z trudnością zdołano go od śmierci ocalić. Wójt gminy nie uważał za właściwe ukarać sprawców tak niecnego czynu, dopiero za wdaniem się Władzy wyższej w tę sprawę, odesłano winnych do sądu.

— W dniu 10 Maja r. b., żona częściowego właściciela szlacheckiej wsi Kołaki małe, w gminie Grudusk, powiecie Ciechanowskim, Franciszka Kołakowska, w przystępie obłąkania skorzystała z nieobecności swego męża, aby popełnić przerażającą zbrodnię. Synowi swemu pięcioletniemu, w czasie snu jego, poderżnęła gardło, a siedmnastoletniej córce rozbiła głowę. Nieszczęsnym dzieciom, przez własną matkę w tak okropny sposób poranionym, mimo wszelkich starań lekarskich, zagraża niebezpieczeństwo utraty życia. Biedną obłąkaną, Władza miejscowa oddaje do szpitala.

— Sporządzenie w ogólnych zarysach projektu kanalizacyi, wraz z rozszerzeniem wodociągów dla Warszawy, ma być poruczone angielskiemu inżynierowi panu. Lindley'owi. Obecnie dowiadujemy się, iż żądane przez pana Lindley'a za takowy projekt wynagrodzenie, złożone już zostało przez dobro ogólne miłujących obywateli tutejszych, na ręce JW. Prezydenta i że w tych dniach p. Lindley zaproszony zostanie do Warszawy.

— Złe wiadomości o urodzajach dochodzą ze stron różnych: w Maryampolskiem na dobrej glebie gruntów, we wzorowych gospodarstwach, pszenica przeważnie niedopisała do tego stopnia, że w wielu miejscowościach pola zaorano i obsiano jęczmieniem. W jednem z takich gospodarstw zaorano pszenicy około 300 morgów!

— Pisma rosyjskie donoszą, że reforma miejska ma być wkrótce zaprowadzoną w Królestwie. Urzędy będą obieralne.

— Bawiący w Warszawie JW. hrabia Pahlen, Minister Sprawiedliwości, przyjmował przed paru dniami grono obywateli gubernii Piotrkowskiej, którzy z zezwolenia Naczelnika gubernii przybyli do naszego miasta, w celu wyjednania decyzyi urządzenia wydziału bipotecznego w mieście Piotrkowie. JW. hrabia raczył życzliwie przyjąć i wysłuchać prośbę, którą szczegółowo motywował i objaśniał pan Józef Jeziorański, właściciel dóbr Byki. Grono proszących składali: oprócz p. Jeziorańskiego, pp. Makulski, Bossowski, Trzciński, Chrzanowski, Tchórzewski, Porębski, Ronthaler, Span i Zilbersztajn.

— „Moskiewskie Wiedomosti“ piszą, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych otrzymało od niektórych gubernatorów przedstawienia, aby właścicielom fabryk i zakładów przemysłowych, zabroniono pobierać od robotników opłatę na utrzymanie szpitali i lekarzy przy fabrykach. Mając na uwadze postanowienie komitetu ministrów, mocą którego na właścicieli fabryk włożony został obowiązek utrzymywania przy zakładach pomieszczeń dla chorych robotników, w stosunku jednego łóżka na 100 pracowników, przyczem nie nadano im prawa pobierania na ten cel od robotników jakichkolwiek opłat, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zadecydowało, iż do czasu rozstrzygnięcia kwestyi najmu robotników, żadna opłata za leczenie nie powinna być pobieraną.

— „Nowoje Wremia“ pisze, że wydział finansów otrzymał do rozpatrzenia prośbę, aby kobietom, udającym się na posady telegrafistek rządowych, nauczycielek i t. p. do Taszkientu, udzielane były te same prawa i przywileje, jakie zapewnione są dla mężczyzn powoływanych tam na urzędy.

Szkoły.

— „Moskiewskie Wiedomosti“ donoszą iż w Radzie Państwa ma być wkrótce decydowany wniosek o przyznanie praw służby rządowej starozakonnym, zajmującym posady w żydowskich instytucyach nauczycielskich i szkołach elementarnych.

— W Rydze, jak donosi jeden z tamecznych dzienników, istnieje zakład dla idyotów, urządzony przed kilku laty, przez panią Z. T. Plac nabyto przy pomocy kassy miejskiej, i stowarzyszenia literackiego. Obecnie w zakładzie tym znajduje się 10 tych nieszczęśliwych, w wieku od lat 6 do 32. Dla rozwinięcia ich skąpych darów umysłowych, przedsiębiorą z nimi różne fizyczne i psychiczne zajęcia. Dla rozrywki zaprowadzone są tam rozmaite gry i zabawy na podobieństwo froeblowskich ogródków. Zauważono, iż muzyka wywiera na nich silne a błogie w skutkach wrażenie.

— Gazeta „Ruski Mir“ donosi, że projekt założenia w Warszawie Instytutu technologicznego, blizkim jest urzeczywistnienia. Chodzą nawet pogłoski o otwarciu tego zakładu z początkiem roku szkolnego 1876/7 (?)

— Dyrekcya (t. j. Rada Opiekuńcza) Instytutu Głuchoniemych we Lwowie, przesłała nauczycielowi Instytutu Warszawskiego panu Kazimierzowi Michalskiemu, urzędową nominacyę na kierującego tamecznym Instytutem.

— Dnia 10 Maja r. b. odbyło się we Lwowie zgromadzenie nauczycieli miejscowych szkół ludowych, na którem postanowiono założyć bursę dla sierot po nauczycielach. Wybranemu w tym celu komitetowi polecono opracowanie statutów.

— Kurator okręgu naukowego Odeskiego, jak donosi gazeta „Noworosyjski Telegraf“ zabronił inspektorom i nauczycielom gimnazyów i progimnazyów, dawania lekcyj prywatnych uczniom w tych zakładach, w których osoby te zajmują posady etatowe. Rozporządzenie powyższe ma na celu położenie tamy skargom na niesprawiedliwą surowość nauczycieli, w celu zdobycia sobie lekcyj prywatnych.

— W Petersburgskiej akademii Medyko-chirurgicznej, mają być przy kursach lekarskich dla kobiet, otwarte specyalne kursa farmacyi. Kobietom jak podaje „Nowoje Wremia“ wolno będzie pracować w aptekach, chociaż niewolno im będzie utrzymywać na siebie aptek.

— „Ruskij Mir“ podaje jako pogłoskę, że osoby które złożą egzamin z kursu gimnazyalnego, z wyjątkiem języków starożytnych, pod względem praw, co do odbywania powinności wojskowej, mają być stawiane na równi z wychowańcami szkół drugiego rzędu.

Odczyty.

— W dniu 7. b. m. Dr. Stanisławski miał w Sieradzu odczyt publiczny, którego przedmiotem były historyczno-statystyczne zarysy Sieradza. Osób na odczycie było 60. Sieradz liczy ludności 5,972 dusz!

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Idalii Osip.... W uprzejmej odpowiedzi na reklamacyę Sz. Pani—po sprawdzeniu u P. Korzeniewskiego, udzielamy następujące objaśnienie: Nadesłała Pani raz rs. 12, drugi raz rs. 7, razem rs. 19. Na to posłał P. Korzeniewski w pierwszym transporcie książek za rs. 2 k. 15, w drugim transporcie za rs. 7 k. 50. Porto od powyższych dwu posyłek wynosi k. 90. Zaliczenie na prenumeratę dwóch exemplarzy „Opiekuna“ rs. 8, razem rs. 18 k. 55 — zatem do dyspozycyi pozostaje u P. Korzeniewskiego k. 45. Kwestyonowane przez Panią 1° dwa pudełka z alfabetami za rs. 1, nie mogły być taniej kupione, a 2° „Nowe śpiewy dla dzieci“ P. K. przesłał w myśli udogodnienia wyboru tego rodzaju dziełka i objaśnia, że posłał je w stanie nowym tak jak je odebrał z księgarni. Na przyszłość możemy Panią zapewnić, że wszelkie jej zlecenia, ale tylko na ręce nasze pod adresem Redakcyi, najakuratniej uskuteczniane będą.

Od Redakcyi.

Z powodu zaszłej potrzeby przeniesienia „Opiekuna Domowego“ z drukarni J. Korzeniewskiego do drukarni innej, nastąpić musiała pewna zwłoka w wypuszczeniu ostatnich Numerów pisma. Przepraszając za tę nie z naszej winy nastąpioną zwłokę, zapewniamy iż Numera dalsze w właściwych terminach doręczanemi będą Szanownym pp. Prenumeratorom.

Дозволено Цензурою. Варшава 17 (29) Мая 1876 г. W drukarni Józefa Kaufmana. — Warszawa, Nr. 638 (9 nowy).

Wydawca Korzeniowski. Redaktor Henryk Perzyński.